

RODZINA

TYGODNIK

NR 38 (481) WARSZAWA, 21.IX.1969 R. CENA ZŁ 2

KATOLICKI



REZYGNACJA DYREKTORA ODDZIAŁU POMOCY MIĘDZYKOŚCIELNEJ SRK

Pani Charlotte Browne-Mayers dyrektor Oddziału do spraw Pomocy Międzykościelnej Światowej Rady Kościołów, ustąpiła niedawno ze swego stanowiska, które zajmowała od 1 kwietnia 1968 roku. Jest ona Amerykanką i członkiem Zjednoczonego Kościoła Chrystusowego. Podczas krótkiego czasu urzędowania, pani Browne-Mayers dokonała reorganizacji Oddziału i przyjęła szereg nowych, kompetentnych współpracowników. Swoją rezygnację uzasadniła ona w pierwszym rzędzie względami osobistymi.

Jako dyrektor Oddziału do spraw Pomocy Międzykościelnej, pani Browne-Mayers była odpowiedzialna za koordynację szerokiej służby na rzecz pomocy w rozwoju, uchodźcom i dotkniętym klęskami żywiołowymi.

WYSTĄPIENIA Z KOŚCIOŁÓW EWANGELICKICH W NRF

Z ewangelickich Kościołów krajowych w Niemieckiej Republice Federalnej wystąpiło w 1967 roku 44 456 członków. W 1966 r. liczba wystąpień wynosiła 40 272. W 1967 przyjęto łącznie do tych Kościołów 28 939 nowych członków. Blisko połowa z nich to byli członkowie Kościoła rzymskokatolickiego, 44,4 proc. należało przedtem do społeczności niechrześcijańskich lub do żadnego ugrupowania chrześcijańskiego.

STAROKATOLICKIE ŚWIĘCENIA KAPLAŃSKIE - WYDARZENIEM EKUMENICZNYM

Pod koniec czerwca br. parafia starokatolicka w Karlsruhe pod wezwaniem Zmartwychwstania Chrystusa uroczystie obchodziła święcenia kapłańskie i prymicję ks. Rainera Petra. Już kilka dni przed święczeniami parafie ewangelickie i rzymskokatolickie okazały dużą pomoc pod względem organizacyjnym (wynajęcie kwater, dostarczenie krzesel itp.).

Współpraca ekumeniczna zaznaczyła się najbardziej w czasie samych święceń. Uczestniczyli w nich duchowni prawosławni,



Na naszej okładce:
„Altana” — mal. Aleksander
Gierymaki (1850—1901)
fot. H. Romanowski

ewangelicy i rzymskokatolicy. Ci ostatni wzięli też udział w nakładaniu rąk! Msza św. prymicyjna młodego kapłana była potwierdzeniem dobrze pojętego ekumenizmu. Lekcję apostołską czytał ewangelicki lektor. Po I Ewangeli kazanie wygłosił rzymskokatolicki benedyktyn z opactwa Chevetogne, o. Daniel Gelsi. Poza tym śpiewał chór z sąsiedniej parafii ewangelickiej. W czasie obu uroczystości asystował anglikański diakon, Karl Halter. Wieczorem nowoświęcony kapłan starokatolicki, ks. Rainer Petrak, został zaproszony do sąsiedniej parafii rzymskokatolickiej w celu udzielenia błogosławieństwa prymicyjnego. Był to pierwszy tego rodzaju wypadek w Karlsruhe.

DWIE RÓŻNE OPINIE W SPRAWIE ZMIANY WYZNANIA WIARY

W Apostolskim Wyznaniu Wiary, uznawanym przez wszystkie ugrupowania chrześcijańskie, wyrażenie „Kościół katolicki” należy zastąpić wyrażeniem „Kościół powszechny”. Opinię taką wyraził niedawno prof. dr J. Pascher, emerytowany wykładowca teologii pastoralnej w Monachium i członek międzywyznaniowej komisji zajmującej się opracowaniem wspólnych tekstów Kościołów dla niemieckiego obszaru językowego. Przypomniał on, że pojęcie „katolicki” wprowadzono ponownie do niemieckich przekładów Apostolskiego Wyznania Wiary dopiero w XIX stuleciu i od tego czasu prowadziło do nieporozumień konfesyjnych.

Natomiast starokatolicki biskup Josef Brinkhues wypowiedział się za zachowaniem wyrażenia „katolicki”, ponieważ jego zdaniem w języku niemieckim nie ma słowa, które by to wyrażenie mogło zastąpić. Poza tym Zgromadzenie Ogólne Światowej Rady Kościołów w Uppsali „odkryło” niedawno na nowo „katolickość Kościoła”.

NOWE ŻYCIE W STAROKATOLICKIEJ PARAFII W PRADZE

W starokatolickiej parafii w Pradze, która istnieje już 70 lat, rozwija się ostatnio ożywiona działalność kościelna. Informacji tej udzielił przedstawicielowi miesięcznika „Alt-katholische Kirchenzeitung” jej proboszcz, ks. dr Milos J. Pulec. Parafia liczy 400 wiernych, są to wyłącznie Czeši. Msze święte odprawiane są w kościele pod wezwaniem Świętego Krzyża, starej rotundy romańskiej, położonej na terenie Starego Miasta oraz w kaplicy pod wezwaniem św. Marii Magdaleny, znajdującej się na drugim brzegu Wełtawy. Do parafii praskiej należy też kościół filialny w Svetec. W uroczystość świętych Apostołów Piotra i Pawła, ks. biskup dr Podolak, przyjął — w kościele św. Krzyża — uroczystość w poczet kleru pięciu seminarzystów. Obecny był także profesor Mil Kanak jako przedstawiciel Wydziału Teologicznego im. Jana Husa, na którym kończą obecnie

swę studia kandydaci do stanu duchownego w Kościele Starokatolickim. Po Mszy św. ks. bp Podolak w asyście ks. Puleca i pięciu seminarzystów konsekrował dwa nowe dzwony, które kościół św. Krzyża otrzymał od władz miejskich.

STOSUNKI KOŚCIÓŁ - PAŃSTWO W JUGOSŁAWII

W Jugosławii przygotowuje się obecnie nową ustawę w sprawie statusu społeczności religijnych. Jak informuje belgradzka „Politica”, poprzednia ustawa z 1953 roku jest już przestarzała z uwagi na to, że w międzyczasie doszło do „wielkich zmian w stosunkach między Państwem a Kościołem”. Jako przykłady tych zmian podaje „Politica” pełną wolność religijną, równouprawnienie wszystkich społeczności religijnych, prawo do swobodnego sprawowania kultu religijnego i coraz lepsze „rozwiązanie problemu bazy materialnej wszystkich Kościołów”. W czasopiśmie czytamy: „Kościół poznał, że w nowej rzeczywistości istnieją normalne warunki dla jego pracy”.

BIBLIA EKUMENICZNA W BRAZYLII

W Rio de Janeiro ukazała się wersja ekumeniczna Pisma św. Nowego Testamentu, wydana staraniem brazylijskiego Towarzystwa Biblijnego. Tekst opracowany przez ekspertów rzymskokatolickich i protestanckich został zaaprobowany przez odpowiednie władze kościelne.

NOWE PRAWO O WOLNOŚCI RELIGIJNEJ W NORWEGII

W Norwegii nabrało niedawno mocy prawnej nowe prawo o wolności religijnej. Przewiduje ono, że luterancki Kościół państwowy nie będzie już pobierał podatków kościelnych płaconych przez członków Kościołów wolnych, które zostały prawnie uznane. Poza tym duchowni Kościołów wolnych otrzymują ten sam status co pastory Kościoła państwowego. Przyjęto też nowe prawo w sprawie nauczania religii, zgodnie z którym również członkowie Kościołów wolnych mogą pobierać naukę religii w szkołach. Jednakże muszą posługiwać się podręcznikami zatwierdzonymi przez szkoły.

KOŚCIOŁY CHRZEŚCIJAŃSKIE W OBRONIE UBOGICH

Przedstawiciele najliczniejszych wyznań chrześcijańskich w Nowym Jorku zwrócili się z apelem do Kongresu USA o jak najszybsze wyasygnowanie odpowiednich sum pieniężnych na budowę nowoczesnych domów mieszkalnych dla ubogich mieszkańców wielkich środowisk

miejskich. W specjalnym komunikacie czytamy: „Wyprawa na Księzyc wykazała, że skutecznie mogą być wykorzystane w celach pokojowych zasoby naturalne i zdolności całego narodu”. Autorzy komunikatu domagają się odpowiedniego i ustawodawstwa w dziedzinie taniego budownictwa mieszkaniowego.

NOWE PRAWO WEWNĘTRZNE KOŚCIOŁA ADWENTYSTÓW DNIA SIÓDMEGO W POLSCE

Nakładem Wydawnictwa „Znaki Czasu” ukazało się niedawno „Prawo Wewnętrzne Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego w Polsce”. Można tam znaleźć zasady doktrynalno-ustrojowe zborów (prawo zborowe) Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego.

AMERYKAŃSCY DUCHOWNI I ŚWIECCY W RADZIE PAŃSTWA

18 sierpnia br. członek Rady Państwa K. Dąbrowski przyjął przebywającą w Polsce grupę amerykańskich działaczy duchownych i świeckich, reprezentujących ośrodek baptystów amerykańskich w Filadelfii.

Przedstawiciele amerykańskich środowisk baptystów zaangażowani są w akcjach na rzecz pokoju i odprężenia oraz porozumienia między narodami. W spotkaniu udział wzięli: dyrektor Urzędu do Spraw Wyznań, dr A. Skarżyński i sekretarz Ogólnopolskiego Komitetu Pokoju, G. Sokółowski. Przed wyjazdem z Polski złożyli wizytę pożegnalną w Urzędzie do Spraw Wyznań.

PAPIEŻ PAWEŁ VI UDA SIĘ DO HIROSZIMY?

W kołach zbliżonych do Watykanu wyraża się przekonanie, że w przyszłym roku papież Paweł VI uda się z wizytą do Hiroszimy (Japonia) w związku z 25 rocznicą zrzucenia bomby atomowej na to miasto. 22 sierpnia potwierdzono oficjalnie w Watykanie, że Paweł VI otrzymał zaproszenie do Hiroszimy od burmistrza tego miasta.

23 sierpnia profesor uniwersytetu w Hiroszimie Tsuriji Kotani, który w przeddzień przyjęty został przez papieża i ponowil przekazane mu wcześniej zaproszenie do odwiedzenia tego miasta, konferował z przedstawicielami watykańskiego sekretariatu stanu w celu wstępnego omówienia ewentualnej podróży Pawła VI do Japonii.

W kołach zbliżonych do Kurii Rzymskiej wspomina się również o możliwości połączenia ewentualnej wizyty w Japonii z odwiedzinami papieża w Wietnamie. Jak wiadomo, osobisty wysłannik Pawła VI bawił w swoim czasie w Demokratycznej Republice Wietnamu. Mówiło się wówczas o ewentualności wizyty papieża w Azji południowo-wschodniej.

CO SĄDZICIE O CHRYSZTUSIE?

EWANGELIA

według sw. Mateusza (22,34-46)

Onego czasu: Przystąpili do Jezusa faryzeusze. I zapytał Go jeden z nich, uczony w Prawie, kusząc Go: Mistrzu, które jest największe przykazanie w Prawie? Rzekł mu Jezus: Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego i ze wszystkiej duszy twojej i ze wszystkiej myśli twojej. To jest największe i pierwsze przykazanie. A drugie podobne jest temu: Będziesz miłował bliźniego twego jako siebie samego. Na tych dwóch przykazaniach całe Prawo zawisło i prorocy.

A gdy się zebrali faryzeusze, zapytał ich Jezus, mówiąc: Co sądzicie o Chrystusie? Czym jest synem? Mówią Mu: Dawida. Rzekł im: Jakoż tedy Dawid w duchu zowie Go Panem, mówiąc: Rzekł Pan Panu memu, siadź po prawicy mojej, aż położę nieprzyjaciół Twoich podnóżkiem nóg Twoich. Jeżeli więc Dawid nazywa Go Panem, jakże jest synem Jego? A nikt nie mógł Mu odpowiedzieć słowa, ani też nie śmiał Go od onego dnia więcej pytać.

Chrystus, o którego Pan Jezus pyta faryzeuszy, to z utęsknieniem oczekiwany Mesjasz, zapowiadany przez Proroków i opisywany przez różnych wizjonerów nie mających z Biblią nic wspólnego. Wskutek nieszczęść narodowych faryzeusze umówili swemu narodowi, że z politycznej niewoli może go wybawić tylko Mesjasz, przy czym jedni — w oparciu o Biblię — głosili że ów wybawiciel będzie pochodził z rodu znakomitego króla Dawida, drudzy natomiast wymyślili sobie zstąpienie Mesjarza wprost z nieba na czele ogromnej armii anielskiej. Zarówno w pierwszym jak i w drugim wypadku zapowiedziany wybawiciel miał posiadać majestat królewski, co się wiązało z przepychem i bogactwem Dawida i Salomona.

Prawdziwy Chrystus, Jezus z Nazaretu, nie pasował do tych wyobrażeń i tęsknot, w żaden sposób. Wprawdzie pochodził z rodu Dawidowego, lecz nie uchodziło to za coś niezwykłego, gdyż do tego przyznawało się tysiące innych Palestyńczyków. Mieszkańcy Nazaretu, rodzinnego miasta Jezusa, gdy ze zdumieniem usłyszeli, że ich współziomek zamierza nauczać w bożnicy, pamiętali tylko, że jest synem Józefa („cieśli”) oraz Maryi. Nie wspominali o Dawidzie, zwłaszcza że znali też innych krewnych Jezusa nie odznaczających się niczym niezwykłym. Wprawdzie wiedziiano, że narodził się w mieście Dawidowym, w Betlejem, ale przecież w szopie dla bydła a nie w królewskim pałacu. Nie nosił przy sobie miecza, ubierał się ubogo, za towarzyszy miał biednych rybaków galilejskich a w przemówieniach swoich ani razu nie wzewał do świętej wojny ze zniechęconymi Rzymianami. Prosił ludzi, obserwując działalność Jezusa, też nie wiązali Jego osoby z Dawidem. Jedni z nich uważali go za zmartwychwstałego Jana Chrzciciela, inni za proroka Eliasza, jeszcze inni za Jeremiasza lub za jednego z proroków starotestamentowych powtórnie po ziemi chodzących. Za Mesjasza i Syna Bożego mieli Go tylko Jego uczniowie. Stąd czytamy słowa Ap. Filipa wypowiedziane do Ap. Natanaela (Bariłomieja): „Znaleźliśmy tego, o którym pisał Mojżesz w Prawie i Prorocy, Jezusa, syna Józefa z Nazaretu. — Rzekł do niego Natanael: Czyż może być co dobrego z Nazaretu? — Mówi do niego Filip: Chodź i zobacz” — Gdy zob-

czył, rzekł do Jezusa: „Rabbi, ty jesteś Synem Bożym, ty jesteś królem Izraela!” (Jan, 1, 44-49). Podobnie później wyzna Szymon Piotr: „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego” (Mat. 16, 16). Jezus temu nie zaprzecza, ale znając warunki palestyńskie zakazuje to rozpowszechniać (Mat. 16, 20).

Jednakże nie dało się utrzymać tej prawdy w tajemnicy. Dowiedzieli się o niej wrogowie i wyjaśnili po swojemu. Mesjasz — to po hebrajsku Boży Pomazaniec. Takim był wprawdzie każdy arcykapłan i każdy prorok, ale również i każdy władca polityczny. W atmosferze politycznej nienawiści o Mesjaszu myślnie tylko jako o przywódcy politycznym, więc i Jezus z Nazaretu został posądzony o działalność polityczną. Chodziło jednak najpierw o pochwylenie Jezusa na jakimś nieopatrznym słowie. Stąd Ewangelia informuje: „Śledzili Go więc i nastali na Niego szpiegów. Ci udawali pobożnych i mieli pochwyć Go w mowie, aby Go wydać zwierzchności i władzy namiestnika” (Łuk. 20, 10). Stąd pytania w rodzaju: „Czy wolno nam płacić podatek Cezarowi czy też nie?” — „Powiedz nam na mocy jakiej władzy to czynisz albo kto Ci dał tę władzę” (Łuk. 20, 2) — „Dokąd będziesz nas trzymał w niepewności?”. Jeśli jesteś Mesjaszem, powiedz nam to otwarcie” (Jan. 10, 24).

Podchwycić się nie dał, ale powiedział im otwarcie. Doszło do tego nie na ulicy i wobec tłumów. Odpowiedź na pytanie, kim jest, usłyszeli wrogość urzędowo — na sali sądowej wobec najwyższych czynników religijnych Judei. Pojmanemu podstępnie Jezusowi nie można było udowodnić działalności politycznej wyrotowej, więc najwyższy sędzia, arcykapłan Kajfasz, zapytał Oskarżonego: „Jesteś ty Mesjaszem?” On odpowiedział: „Choćbym wam powiedział — nie uwierzycie mi. Lecz odtąd Syn Człowieczy siedzieć będzie po prawej stronie Wszechmocny Bożej” — Zawołali wszyscy: Więc ty jesteś Synem Bożym? — Odpowiedział im: Sami mówicie, że jestem — Oni zawołali: Na co nam jeszcze potrzeba świadectwa. Sami bowiem słyszeliśmy z jego ust. — Oto słyszeliście bluźnierstwo. Co sądzicie? — Oni odpowiedzieli: Wintien jest śmierci?” (Łuk. 27, 67-71; Mat. 26, 63-66). Dlatego wobec Piłata oskarżenie brzmiało następująco:

„Stwierdziliśmy, że ten człowiek podburza nasz naród, że odwołuje od płacenia podatków Cezarowi i że siebie podaje za Mesjasza — Króla” (Łuk. 23, 2). Oskarżenie było fałszywe w całej rozciągłości. Jezus nigdy nie zajmował się polityką, nikogo nie podburzał przeciwko władzy politycznej, płacił podatki i doradzał je płacić, a gdy nie przeczył, że jest Mesjaszem, nie wiązał tej godności z królowaniem ziemskim: „Królestwo moje nie jest z tego świata”. Zwróćmy jednak uwagę, że podczas rozprawy sądowej u Kajfasza omawiano nie jeden, lecz dwa zarzuty: Jezus — Mesjaszem, Jezus — Synem Bożym. Prorocy byli mesjaszami, lecz żaden z nich nie uważał się za Syna Bożego. Inaczej w tym wypadku. Sędzia pyta wyraźnie, czy podsądny jest przekonany o swoim pochodzeniu boskim, a gdy słyszy potwierdzenie, rozdziera swe szaty na znak oburzenia i woła: „Zbluźnił!” I nie to, że się uważał Jezus za Mesjasza, zdecydowało o wyroku śmierci. To jeszcze nie stanowiło bluźnierstwa. Było nim uznawanie się za Boga.

Określenie „Syn Boży” w tych warunkach nie oznaczało Synostwa moralno-prawnego, adopcyjnego. Członkowie narodu żydowskiego też się uważali za „synów Boga”, lecz w znaczeniu moralnym, więc nie pytałiby o to, co było oczywiste. Być „Synem Boga” adoptowanym — to dla Izraelity tytuł do chwwały a nie bluźnierstwo. Jest więc rzeczą pewną, że Kajfasz pytał, czy Jezus uważa się za naturalnego Syna Boga czyli za Boga. Odpowiedź twierdząca oznaczała bluźnierstwo dla narodu, który wierzył w Boga jednoosobowego. W ich teologii nie ma najmniejszego miejsca dla Boga w dwóch lub w trzech osobach i dla Boga noszącego ciało ludzkie a Jezus i autentyczny Mesjasz nigdy ich nie wyprowadził z tego błędu w sposób jednoznaczny, wyraźnie. Zwlekał z tym, ponieważ nie mógłby nauczać nie tylko przez trzy lata, lecz nawet przez trzy godziny. Gdy jednak się zdecydował, podkreślił, że mesjanistyczne prorocstwo Daniela (14, 14) mówiące o Synu Człowieczym odnosi się do Niego jako do Syna Boga. Widząc gwałtowną reakcję sędziów, nie odwołał swej wypowiedzi, nie wyjaśnił, że zaszła pomyłka. Umarł, aby podkreślić, że to prawda.

Wielką, niezwykłą, istotną prawdę o Jezusie jako Mesjaszu i Synu Boga utwierdził Jezus Chrystus swoim zmartwychwstaniem. Apostołowie, opowiadając o tym ludziom sobie współczesnym zapewniali: „Niech więc cały dom Izraela wie z niewzruszoną pewnością, że tego Jezusa, którego wyście ukrzyżowali, uczynił Bóg i Panem i Mesjaszem” (Dzieje Ap. 2, 36). I to stwierdzenie stanowi odpowiedź właściwą na pytanie Jezusa: „Co sądzicie o Chrystusie?”. Chrześcijanie dodać powinni do niego wyznanie Samarytan: „Jesteśmy przekonani, że On prawdziwie jest Zbawicielem świata” (Jan, 4, 42).

Ks. S. WŁODARSKI

WRZESIEŃ XVII NIEDZIELA PO ZESLANIU DUCHA ŚWIĘTEGO		
21	N	Hipolita, Mateusza
22	P	Tomasza, Maurycego
23	W	Tekli, Bogusława
24	S	Gerarda, Teodora
25	C	Aurelii, Ladysława
26	P	Justyny, Cypriana
27	S	Kosmy, Damiana

Grzech pierworodny w ogniu dyskusji

W „Rodzinie”, nr 31/69. wydrukowano mój artykuł pt. „Pierwszy grzech”. Artykuł ten wywołał polemikę na jej łamach. W „Rozmowach z Czytelnikami” („Rodzina” nr 34/69) postawiono mi poważne zarzuty: 1) brak ścisłości wyrażen teologicznych; 2) lekceważenie Pisma Św.; 3) naturalistyczne tłumaczenie prawd wiary. Podważono również wiarygodność moich informacji o istniejących wśród teologów katolickich próbach nowoczesnej interpretacji dogmatu o grzechu pierworodnym (I „jacy to są współcześni teologowie katolicy?”): nazwano artykuł „osobistymi impresjami autora”. Rozmówca z czytelnikami zakończył zarzuty stwierdzeniem, że „teolog chrześcijański lekceważący Pismo Św., a wielbiący każdą, nawet bardzo problematyczną hipotezę nauk świeckich, nie jest ani teologiem, ani naukowcem”.

W ten sposób problem postawiony w moim artykule: „Kto popełnił pierwszy grzech i na czym ten grzech polegał?” musi być jeszcze raz rozpatrzony, gdyż trudno mi pogodzić się z wysuniętymi zarzutami. Mam nadzieję, że i Czytelnicy skorzystają z tej dyskusji, gdyż wszelka rzeczowa dyskusja przybliży właściwe rozumienie problemu.

Nauka o grzechu pierworodnym ma niewątpliwie mocne oparcie w Piśmie Św. W Starym Testamencie (Księga Rodzaju 3, 1—24) jest zawarte opowiadanie o kuszeniu pierwszych rodziców przez węża-szatana i o ich upadku w grzech. Upadek ten polegał na zerwaniu i spożyciu owocu z drzewa umieszczonego w środku raju. Pan Bóg powiedział do pierwszych rodziców: „Z wszelkiego drzewa tego ogrodu możesz spożywać według upodobania; ale z drzewa poznania dobrego i zła nie wolno ci jeść, bo gdy z niego spożyjesz, niechybnie umrzesz” (Rodz. 2, 16).

Teologiczna interpretacja złamania zakazu Bożego przez pierwszych rodziców nie idzie w kierunku literalnego tłumaczenia słów zawartych w Biblii, tzn. teologowie nie sądzą, aby grzech polegał na zerwaniu owocu z drzewa zakazanego. Autor biblijny chciał tylko przedstawić w sposób obrazowy jakiejś bliżej nieokreślone nieposłuszeństwo Adama i Ewy prawu Bożemu. Oto co na ten temat pisze wybitny teolog Kościoła Rzymskokatolickiego, rektor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, ks. Wincenty Granat: „W teologii mówi się o rozmaitych grzechach popełnionych przez pierwszych rodziców; szuka się tego, co było w ich przestępstwie najbardziej istotne; popełnili oni zapewne grzech niewdzięczności, niewiary, a przede wszystkim pychy; NIE WIADOMO JEDNAK DOKŁADNIE, co oznaczają słowa: „będziecie jako bogowie, wiedząc dobre i złe” (Ks. W. Granat, Dogmatyka katolicka, synteza, Lublin 1967, s. 197). Zatem pierwszy człon mego problemu: „na czym polegał pierwszy grzech?” i odpowiedź: „Teologowie nie wiedzą na czym polegał” jest w pełni uzasadniona.

W Nowym Testamencie, jak pisałem w poprzednim artykule „popari” naukę o grzechu pierworodnym Apostoł Paweł w liście do Rzymian: „Jak przez nieposłuszeństwo jednego człowieka grzesznikami stało się wielu, tak przez posłuszeństwo jednego (tj. Chrystusa) wielu stanie się sprawiedliwymi” (Rzym 5, 19). W oparciu o fakty i naukę zawartą w Biblii, teologia katolicka sprzecywała dogmat o grzechu pierworodnym. Powód do bliższego zainteresowania się grzechem pierworodnym dał w IV w. asefita brytyjski Pelagiusz, człowiek ambitny i wykształcony. Będąc w Rzymie zapoznał się z wymownym adwokatem Celestiuszem, razem udali się do Afryki, by tam głosić swoje poglądy. Głosili

obaj, że pierwszy człowiek — Adam — był od samego początku śmiertelny, podlegał pożądliwościom i dlatego popełnił grzech, czym dał zły przykład nieposłuszeństwa Bogu. Grzech Adama nie przeszedł na innych ludzi, dlatego chrzest nie jest potrzebny w tym znaczeniu, by uwalniać ich od grzechu pierworodnego. Prócz tego Pelagiusz twierdził, że człowiek ma wystarczające naturalne siły, by oprzeć się pokusom i żyć w doskonałości, czym podważał naukę o łasce Bożej, potrzebnej do zbawienia.

Przeciwko nauce Pelagiusza — wystąpił zdecydowanie św. Augustyn, czym wywołał dyskusję i polemikę na temat grzechu pierworodnego i konieczności łaski Bożej. Wynikiem dyskusji było określenie faktu grzechu pierworodnego na synodzie w Kartaginie (418) i potem w Orange (529).

W XVI wieku protestanci zaczęli inaczej aniżeli katolicy interpretować naturę grzechu pierworodnego, utożsamiając ten grzech z pożądliwością, która stale istnieje w człowieku; nie usuwa jej ani chrzest, ani inne sakramenty. Jedyne zasługujące działanie męki Chrystusa Pana i Jego śmierci sprawia, że Bóg nie poczyna nam grzechów; ani grzechu pierworodnego ani grzechów osobistych. Sakramenty św. mają jedynie pobudzić w nas wiarę w zbawczą siłę zasług Chrystusowych. W związku z tym Kościół Rzymskokatolicki określił szczegółowo naturę grzechu pierworodnego na V sesji Soboru Trydenckiego w r. 1546. Ojcowie Soboru stwierdzili uroczyście: pierwszy człowiek, Adam, przez to, że przekroczył w raju nakaz Boży, stracił świętość i sprawiedliwość nie tylko dla siebie, ale dla wszystkich ludzi. Grzech Adama przekazywany bywa wszystkim ludziom drogą narodzin (Por.: Denz. 1511—1515).

W teologii rzymskokatolickiej odróżnia się wyraźnie grzech pierworodny od grzechów uczynkowych. Grzech uczynkowy popełnia każdy człowiek sam, z własnej woli, przez co jest on pozytywnym złem tkwiącym w naszej duszy, a zło to może być usunięte przez sakrament pokuty; grzech pierworodny uważa się jedynie za brak dobra nadprzyrodzonego w duszy człowieka, za brak w duszy człowieka nieochrzczonego przyjaźni z Bogiem. Ks. prof. W. Granat nazywa ten brak przyjaźni z Bogiem „jakąś duchową plamą w duszy ludzkiej” (Dogm. katol., dz. cyt. s. 198).

Naukę Soboru Trydenckiego oraz najnowszą interpretację natury grzechu pierworodnego przytoczyłem dlatego, aby wykażać memu Dyskutantowi z „rozmowy z czytelnikami”, że „odrzućcie z nauki o grzechu pierworodnym pojęcia grzeszności” nie jest wcale zasługą teologów starokatolickich, jak to jest w „rozmowach” stwierdzone, tylko naukę tę wypracowali teologowie rzymskokatolicy na Soborze Trydenckim. W katechizmie Kościoła Starokatolickiego określa się grzech pierworodny jako utratę przyjaźni z Bogiem. Wraz z utratą przyjaźni spadły na pierwszych rodziców, następnie na nas wszystkie cierpienia, choroby i śmierć. Ten stan braku przyjaźni z Bogiem nazywa się właśnie grzechem pierworodnym. (Catechisme Catholique-chretien, CHS. W. Gassmann Bienne 1948, s. 52). Jest prawdą, że dziecko „rodzi się czyste jak iza”, tzn. osobiście nie popełniło jeszcze grzechu uczynkowego, ale posiada jednak — wg Pisma św. i teologów — brak łaski Bożej. Więc niby jest czyste i bez plamy, ale właściwie nie jest czyste i bez plamy. Gdy komuś brak jednego zęba, to brak ten można nazwać plamą.

Taka jest dotychczasowa nauka o grzechu pierworodnym, przyjęta i podtrzymywana przez wszystkie gałęzie katolicyzmu. Jed-

nakże w najnowszych czasach, jak to zasygnalizowałem w poprzednim artykule pt. „Pierwszy grzech”, pojawiają się próby nowej interpretacji grzechu pierworodnego. Dzieje się to na skutek poważnego traktowania przez wybitnych teologów katolickich osiągnięć naukowych w dziedzinie paleontologii (nauka o zwierzętach i roślinach z minionych okresów geologicznych), paleantropologii (nauka o człowieku z okresu przedhistorycznego), biologii. Dzięki tym naukom oraz odkryciom wykopaliskowym przyjęto wspólnie teorię o ewolucji wszechświata jako fakt niezaprzeczalny, zaś teorię o ewolucji antropologicznej jako teorię powszechnie obowiązującą. Papież Pius XII w Encyklice „Humani Generis” (1950) zezwolił teologom prowadzić dyskusję na temat powstania ciała ludzkiego z istniejącej uprzednio i żyjącej materii, choć zabronił akceptacji poligenizmu (pochodzenie ludzkości od wielu par ludzkich, a nie od jednego protoplasty rodu ludzkiego). Papież Paweł VI w przemówieniu do grupy teologów (por.: L'Osservatore Romano, 16.VII.1966) nie nazwał ewolucjonizmu hipotezą, lecz „teorią”, ale stwierdził, że poligenizm nie został jeszcze udowodniony naukowo. Nie mniej jednak nie uważa się dziś ewolucyjnej wizji świata za niebezpieczną dla wiary o ile tylko przyznaje się, że Bóg kieruje ewolucją i że człowiek różni się istotnie od zwierząt. Nauka o ewolucji postępuje naprzód przez weryfikację hipotez, a jej argumenty stają się coraz bardziej zniewalające. Powszechnie znanym teologiem i naukowcem, który w pismach swych zaprezentował ewolucyjną wizję świata był Theillard de Chardin. Stąd trudno się dziwić, że współcześni teologowie nie bagatelizują zdobyczy naukowych i włączają je w krąg swych rozważań, a w związku z tym proponują nowe interpretacje dogmatu o grzechu pierworodnym.

I tak np. teolog rzymskokatolicki, Karl Rahner, prof. Uniwersytetu w Innsbrucku do r. 1948, obecnie kierownik Katedry filozofii religii i antropologii chrześcijańskiej na Uniwersytecie w Monachium udowadnia tezę, że poligenizm można pogodzić z tradycyjną nauką o grzechu pierworodnym. Grzech ten popełniłaby pierwsza grupa ludzi na ziemi, od której cała ludzkość pochodzi. Tę grupę ludzi nazywa „humanitas originaus”, Imię „Adam” oznaczałoby wtedy nie człowieka jednostkowego, lecz całą grupę pierwszych rodziców, tj. kilka par ludzkich. (Por.: Karl Rahner, Grzech pierworodny a ewolucja, Concilium, Międzynarodowy Przegląd Teologiczny, 1—10/1966/7, Pallofinum, W-wa 1969, s. 288—295).

O innych, wybitnych teologach rzymskokatolickich, jak np. M. Flick, Z. Alszeghy, pisze w Dogmatyce Katolickiej wzmiankowany już ks. W. Granat (dz. cyt. s. 200—205). Proponują oni różnego rodzaju interpretacje grzechu pierworodnego, a całe opowiadanie o Adamie i Ewie, o raju i szczęśliwości pierwotnej traktują jako przypowieść zawierającą mnóstwo symboli. Różne próby tłumaczenia grzechu pierworodnego przytoczyłem w artykule, który wywołał dyskusję. Podając nazwiska teologów bronię się przed uszczypliwą uwagą Rozmówcy z Czytelnikami, zaznaczającą się w pytaniu: „jacy to teologowie katolicy?”. Pragnę też wykazać, że aczkolwiek piszę w „Rodzinie” o problemach moralnych w sposób popularny, to nie ruczę jednak Czytelników wiadomościami wyssanymi z palca.

W świetle trwającej w świecie katolickim dyskusji na temat grzechu pierworodnego oraz różnych propozycji jego wytłumaczenia, stwierdzenie moje, że nie można dać jednoznacznej odpowiedzi na pytanie: „Kto popełnił pierwszy grzech?” jest chyba uzasadnione. Wprawdzie Kościoły Katolickie, w swych oficjalnych wypowiedziach, trzymają się jeszcze starych formuł dogmatycznych, ale nie ulega wątpliwości, że zbliża się już czas, kiedy prawda wiary o grzechu pierworodnym uzyska nową szatę słowną, a wraz z nią może też zmienić się rozumienie natury tego grzechu.

Kościół Rodezji wobec dyskryminacji rasowej

Wymiki referendum zorganizowanego w Rodezji przez rasistowski rząd premiera Iana Smitha nie mogą nastrajać optymistycznie. Spośród osób uprawnionych do głosowania, prawie trzy czwarte wypowiedziało się za segregacją rasową. Takie, a nie inne rezultaty referendum wynikają w pierwszym rzędzie ze specyficznej procedury wyborczej. Prawo głosu zależy w tym kraju bowiem od posiadania majątku i wykształcenia. Nic więc dziwnego, że z 237 tysięcy Europejczyków — jak białych mieszkańców Rodezji nazywa nowa „konstytucja” — na liście wyborców znalazło się ponad 80 tysięcy osób. Murzynów, mieszanów i Azjatów mieszka w tym kraju 4,4 miliony, ale na liście wyborczej zamieszczono tylko 10 tysięcy. Tysiące uprawnionych do głosowania Afrykanów zrezygnowało wprawdzie, na znak protestu, z umieszczenia na liście wyborczej, ale i tak dysproporcja nie zmieniłaby się w sposób zasadniczy.

O to, by prawo głosu otrzymała na dalszą metę tylko częśćka ludności afrykańskiej, dbają odpowiednie przepisy „konstytucji”. Europejczyk, by móc głosować, musi wykazać się dochodem rocznym w wysokości 900 funtów rodezyjskich lub majątkiem nieruchomości wartości 1 800 funtów. Jeśli ukończył czteroletnią szkołę średnią, to wystarczy dochód roczny 600 funtów lub majątek wartości 1 200 funtów. Afrykanin by móc uczestniczyć w wyborach, musi zarabiać „tylko” 300 funtów rocznie lub dysponować majątkiem o wartości 600 funtów. Jeśli uczęszczał dwa lata do szkoły średniej, to wystarczy, że zarabia 200 funtów lub ma majątek o wartości 400 funtów.

Ale nic bardziej nie świadczy o przerażającej dysproporcji między poziomem życia ludności białej i kolorowej jak fakt, że mimo rzekomych udogodnień dla Afrykanów, tylko nieliczna garska może wykazać się wymagającym dochodem rocznym.

Zgodnie z zarządzeniami państwowymi, liczba deputowanych do parlamentu spośród Afrykanów ma wzrastać w takiej mierze, w jakiej wzrosnie podatek dochodowy ludności kolorowej. Warunki ekonomiczne, w jakich ta ludność żyje, przesadzają z góry, że nawet w bardzo odległej przyszłości nie wchodzi w rachubę jej pełne równouprawnienie. Ale premier Smith przygotował się nawet na ewentualność poważnego wzbogacenia się ludności kolorowej i zarządził, że liczba afrykańskich deputowanych może wzrastać tylko do tego momentu, gdy podatek dochodowy płacony przez Afrykanów osiągnie połowę ogólnego podatku dochodowego. Jednym słowem nic nie wskazuje na to, że nawet w najbliższych latach sytuacja w Rodezji ulegnie zmianie. Ostatnio podjęto uchwałę, że język angielski ma być jedynym oficjalnym językiem krajowym. I ten fakt świadczy dobitnie, jak biali rasiści lekceważą interesy i potrzeby ludności afrykańskiej.

Rozwój sytuacji w Rodezji, jak i w drugim rasistowskim państwie — w Republice Południowej Afryki, śledzony jest z niepokojem od dłuższego czasu przez wielu wybitnych działaczy ruchu ekumenicznego. Rasizm, leżący u podstaw polityki apartheidu obu tych państw, jest umotywowany religijnie i znajduje silne oparcie w tamtejszych Kościołach ewangelicko-reformowanych. Kościoły te były na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci istotnym czynnikiem przy kształtowaniu się odrębnej świadomości narodowej u imigrantów przybyłych z Europy.

W Ionie Kościoła ewangelicko-reformowanego rozwinęła się, reprezentowana do dzisiaj, nacjonalistyczna „teologia narodu”, wykazująca duże podobieństwo z poglądami głoszonymi w okresie III Rzeszy przez tzw. „chrześcijan niemieckich”. Na ukształtowanie

się chrześcijańskiego myślenia najistotniejszy wpływ wywiera specyficzna interpretacja kalwińskiej nauki o przeznaczeniu. Powiada się, że świat dzieli się na wybranych i potępionych. Do pierwszej kategorii należą oczywiście biali, do drugiej natomiast czarni. Ci ostatni mają pewne szanse na zbawienie, ale pod warunkiem, że dobrowolnie przyjmą „kuratele” białych i zgodzą się na oddzielny rozwój ras we wszystkich obszarach życiowych.

Stanowiska Kościoła ewangelicko-reformowanego w Rodezji, wspierającego rasistowski rząd premiera Smitha, nie podzielała jednak oficjalni przedstawiciele innych Kościołów działających na terenie tego kraju. Świadczy o tym ich apel skierowany do „chrześcijańskiej ludności Rodezji” ogłoszony przed referendum, który sprzeciwił się planowanej zmianie konstytucji. Apel ten głosił m.in., że projekt nowej konstytucji „stoi w bezpośredniej sprzeczności z Nowym Testamentem”. Jego autorzy pytali swoich wiernych, czy jako chrześcijanie mogą zaakceptować konstytucję, która przeważającej części Rodezyjczyków odbiera wszelką możliwość wyrażania w sposób demokratyczny swoich poglądów i która kosztem jednostki i prawa wyposaży rząd w absolutne pełnomocnictwa.

Do stanowiska wyrażonego w tym apelu przyłączyli się oficjalnie: Kościół Metodystów, Zjednoczony Kościół Metodystów, Anglikańska Diecezja z Mashonaland, Kościół Prezbiteriański z Mashonaland, Zjednoczony Kościół Kongregacjonalistów, Zjednoczony Kościół Chrystusowy, Kościół Ewangelicko-Luterański, Afrykański Kościół Metodystów, Rada Chrześcijańska Rodezji, Rady Kościelne z Salisbury i Bulawayo oraz Towarzystwa Biblijne Rodezji.

Również pięciu biskupów rzymskokatolickich Rodezji, „w interesie własnego narodu i wszystkich ludzi dobrej woli”, potępiło oficjalnie w wydanym liście pasterskim proponowane zmiany konstytucji. Nowy projekt konstytucji jest — zdaniem biskupów — sprzeczny z fundamentalnymi zasadami chrześcijańskimi. Zredagowano go w zamiarze umocnienia panowania jednej części społeczeństwa nad drugą i w celu zachowania dotychczasowych przywilejów. Polityki tej nie da się „pogodzić z prawem Bożym” i musi ona „prowadzić do tragicznych konsekwencji dla całego kraju”. Nadmierna supremacja administracji państwowej jest nieusprawiedliwiona i prowadzi do stosunków „dyktatorskich”. Przewidziane ograniczenia wolności głoszenia poglądów mogą uczynić z środków masowego przekazu instrumenty „do prania mózgu” a poza tym przynieść szkodę działalności samego Kościoła.

W tym liście pasterskim czytamy dalej, że biskupi zupełnie zdają sobie sprawę z doniosłości swego ostrego stanowiska. „Jednakże nie możemy milczeć, gdy idzie o tak nadzwyczaj ważne zagadnienie moralne. Kościół ma prawo do wydawania sądu moralnego nawet w zagadnieniach porządku politycznego, jeśli sądu takiego domagają się podstawowe prawa ludzkie lub zbawienie duszy”.

Projekt zmiany konstytucji zmierza — zdaniem biskupów — do zniszczenia wszelkiej możliwości prowadzącej do urzeczywistnienia dobra ogólnego. „Niechaj nikt nie da się zwieść propozycjom. Dają one powierzchowną, ale całkiem iluzoryczną nadzieję na bezpieczeństwo w przyszłości i muszą nieuchronnie prowadzić do nienawiści i gwałtu. Jeśli zostaną przyjęte do konstytucji, to będzie nam bardzo trudno wezwać do powściągliwości naród, którego cierpliwość wystawiano tak długo na próbę przez dyskryminujące prawa, a teraz prowokuje się go w sposób tak ekstremistyczny”.

Reakcja białej ludności na apele zwierzchników protestanckich i rzymskokatolickich w Rodezji była jednak bardzo różna. To samo można też powiedzieć o duchowieństwie. Wielu z nich oświadczyło wręcz, że zadaniem Kościoła nie jest mieszanie się do polityki. Tak więc Kościołowi prezbiteriańskiemu grozi z powodu ogłoszenia apelu rozłam wewnętrzny. Podobną sytuację obserwuje się w Kościele anglikańskim, gdyż poważna część duchownych odmawia biskupom prawa wypowiedziania się w zagadnieniach politycznych i społecznych.

KRZYSZTOF GAŁECKI

KATOLICKOŚĆ A REGIONALIZACJA KOŚCIOŁA

Wiele nieporozumień nagromadziło się wokół katolickości Kościoła Jezusa Chrystusa, lecz jeszcze ich więcej w związku z próbami godzenia katolickości z podziałem Kościoła Powszechnego na Kościoły narodowe czyli z regionalizacją chrześcijaństwa.

Zdaniem starokatolików — geograficznie i etnograficznie powszechny ma być tylko Kościół Jezusa Chrystusa (całe chrześcijaństwo) i to od strony Ewangelii, natomiast Kościoły lokalne (krajowe) winny być katolickie od strony katechizmu czyli że w każdym z nich powinna obowiązywać jednako- wa nauka wiary.

Za tym wyjaśnieniem idzie następne dotyczące Kościołów narodowych. Jedną i tę samą naukę wiary każdy Kościół lokalny czy krajowy przyswaja w sposób właściwy niezależnie od sposobów stosowanych w innych krajach i narodach. Tę swojszczyznę nazywamy regionalizacją albo — mniej ściśle — unarodowieniem wiary katolickiej.

Regionalizacja nie powinna mieć nic wspólnego ani z zaściankownością (umysłową ciasnotą), ani z nacjonalizmem (uczuciową ciasnotą). Jej celem jest lepsze służenie wspólnej sprawie wiary katolickiej a nie tworzenie własnej narodowej wiary. Emocjonalną siłą regionalizacji jest właściwie pojmowany patriotyzm stawiający zasadę, że ludzie danego kraju mówiący jednakowym językiem i posiadający jednakowe zwyczaje powinni być gospodarzami u siebie.

Kościół Jezusa Chrystusa musi być wszędzie ten sam, ale nigdzie nie powinien być taki sam. W każdym narodzie i w każdym kraju winien przejawiać swą naukę wiary w formie regionalnej, właściwej ludziom danej okolicy. Musi wiązać Ewangelię z konkretnym środowiskiem ludzkim — z narodem. Kościoły narodowe niosą, aktualizują i wykładają katolicki, powszechnie obowiązujący katechizm. One są konkretnym, widzialnym i przestrzennym wcieleniem niewidzialnego Ciała — Kościoła Jezusa Chrystusa. Można bowiem i trzeba mówić o własnej drodze tego czy innego narodu do Boga.

Regionalizacja Kościoła Powszechnego uwidacznia się najbardziej w dwóch elementach, w samodzielności zwanej też autokefalia i w języku liturgicznym obrzędów.

Niewidzialny Kościół Powszechny jest federacją (wspólną) widzialnych Kościołów autokefalicznych. Należy jednak dodać, że federacja to nie suma wyników z dodawania, podobnie jak ludzkie ciało nie jest sumą kości, mięśni i nerwów. Podobnie jak w ciele musi płynąć jedno i to samo życie, tak i w Kościele Powszechnym ta sama wiara i ten sam duch religijny musi ożywiać wszystkie Kościoły krajowe. W każdym Kościele krajowym (narodowym) musi być zawarty cały Kościół katolicki czyli cała jego nauka przez Chrystusa objawiona. Żaden z Kościołów narodowych nie może rościć pretensji do zwierzchnictwa nad innymi. Nie chodzi tu tylko o tzw. decentralizację, gdy Kościół „matkujący” przekazuje (z konieczności) Kościołom krajowym część uprawnień, ale nie zamierza wypuścić z ręki władzy nad nimi. Chodzi o całkowite zrównanie wszystkich Kościołów krajowych bez względu na ich wiek, liczebność i zamożność. Każdy rządzi się sam, ale w braterskiej zgodzie z pozostałymi — jak w dobrej, przykładowej rodzinie.

Chyba to miał na myśli Ap. Paweł, gdy pisał o Kościele: „Wszycyśmy bowiem w jednym Duchu zostali ochrzczeni, by stanowić jedno ciało: czy to Żydzi, czy Grecy... Ale ciało to nie jeden członek, lecz liczne członki. Jeśliby noga powiedziała: Ponieważ nie jestem ręką, nie przynależę do ciała — czy wskutek tego rzeczywiście nie należy do ciała?... Nie może też oko powiedzieć ręce: Nie jesteś mi potrzebna, lub głowa nogom: Nie potrzebuję was... Gdyby całość była jednym członkiem, gdzie byłoby ciało?” (1 Kor. 12, 12—21).

Ks. Dr S. W.

Każdy przechodzień w Trzciance wie, gdzie znajduje się Rodzinny Dom Dziecka. — To jest na ulicy Dąbrowskiego 26" — mówią, jak gdyby z pewną dumą w głosie.

Jesteśmy na miejscu. Niepozorny, przy bocznej ulicy, z dala od reprezentacyjnego „Platanu” i wielkich bloków Spółdzielni Mieszkaniowej — dom rodzinny Helaków z ślicznym ogródkiem. Krąg dzieci przy nutach. Karmią gołębie. Najstarszy, który nas pierwszy zauważył, przywitał się i zaraz zapytał — „A morską świnkę pan widział?” No cóż, obejrzałem. Z kolei i ja zapytałem, czy zastalem panią Helakową. Czworko czy pięcioro dzieci, oczywiście z nieodłącznym pieskiem — ulubieńcem malców, pobiegło do mieszkania wykrzykując: „mamo, mamo! Jakis pan chce się z mamusią zobaczyć.”

W takich okolicznościach poznałem Helenę Helakową — starszą niewiastę o miłym uśmiechu — która prowadzi Rodzinny Dom Dziecka i pełni w Trzciance liczne funkcje społeczne, wymagające zaangażowania, żarliwości i ludzkiego serca.

Rodzinny Dom Dziecka, jeden z bardzo nielicznych w kraju, a jedyny w woj. poz-

nańskim. Dzieci przekazano Helakom (mąż Franciszek, pracownik Trzcianieckiej Fabryki Mebli, jest niestrudzonego pomocnikiem żony) z różnych placówek opiekuńczych. Helakowie wzięli je do siebie, zapewniając im wychowanie, miłość, troskliwość i opiekę. Ci „prawdziwi” rodzice nie mogli, bądź nie chcieli zająć się malcami, a Dom Dziecka, to nie to samo, co rodzinny. Przez dom Helaków przewinęło się już — wliczając do rachunku obecnych wychowanków — ponad czterdzieścioro dzieci. Różne były drogi, które zaprowadziły je tutaj. Ale wszystkie bez wyjątku podobne są do siebie, ponieważ żadnego z nich życie „nie głaskało po głowie”, nie opowiadano im wieczorami bajek, nie prowadzono na spacerach, nie zaspokajano nawet drobnej części ich dziecięcych kaprysów.



Fot. Zbigniew Szczęsny

Jak to się rozpoczęło? Małżeństwo Helakowie nie mieli własnych dzieci, chociaż bardzo tego pragnęli. Zaadaptowali więc półtoramięsięcznego chłopczyka. Rywalizacja obojga przybranych rodziców o miłość Ryśka stawała się kością niezgody. Przywieziono więc z Krzyża kilkunniową Danusię i ona stała się od razu pupilką taty. Także i tę dziewczynkę zaadaptowano.

Wojewódzki Wydział Zdrowia widząc, że Helakowa umie troszczyć się o dzieci, przydzielił jej kolejno kilkanaścioro dzieci w różnym wieku, z różnych środowisk, najczęściej chorowite lub niedorozwinięte. Tutaj inaczej żyły: bardziej swobodnie, lżej, mniej gnębiły je różne lęki. Po trzech latach Helakowa żegnała się ze swoimi podopiecznymi. Dzieci wracały do swoich matek, placówek opiekuńczych lub adoptowali

je obcy ludzie. Tego rodzaju pożegnania bardzo boleśnie przeżywała p. Helakowa, jak również same dzieci, które często bardziej wołały przybraną mamusię niż naturalną. Już wprost nie do zniesienia było rozstanie z Jacusiem. Wychowywał się u Helaków od 1 do 5 roku życia, aż przypomniała sobie o nim jego naturalna matka. Przyjechała kilka razy, częstowała słodyczami, namawiała, żeby do niej wrócił. Ale chłopiec łgnął do pani Heleny. Kiedy przyszedł umówiony dzień odjazdu, nieświadomego Jacka zaprowadzono na dworzec, posadzono w przedziale, obdarzono słodyczami. Nawet nie zauważył kiedy „mama” Helakowa wyszła z przedziału. Ale kiedy pociąg drgnął, dziecko w lot zorientowało się w sytuacji i z przeraźliwym krzykiem przylgnęło do szyby, a potem rzuciło się do drzwi. Było już jednak za późno. Ten krzyk, przejmujący do szpiku kości, krzyk zranionego w uczuciach dziecka, był wstrząsem dla p. Helakowej.

Zwróciła się więc z prośbą, by umożliwiono jej opiekowanie się powierzonymi dziećmi stale — aż do osiągnięcia przez nie pełnoletności. 14 dzieci, kiedyś sierot, stanowią teraz Rodzinny Dom Dziecka. Cały dom przeżywa właśnie emocje związane ze skończeniem szkoły podstawowej przez Danusię



(która pragnie jak mamusia zdobyć zawód wychowawczyni przedszkola) oraz przygotowaniami do przekroczenia progu szkolnego przez najmłodszego syna. Wszystkie dzieci są roześmiane, schludnie ubrane, ciekawe przybysza. Aczkolwiek placówki opiekuńcze także i tym razem przekazały dzieci o różnym stopniu rozwoju umysłowego, zaniedbane wychowawczo, nierzadko chorowite — pobyt w rodzinnej atmosferze świetnie działa na ich psychikę, stan fizyczny i ogólny rozwój. TPD przydzieliło p. Helakowej wykwalifikowaną nauczycielkę. Pomaga ona dzieciom w nauce, sprawdza odrabianie lekcji domowych, udziela rad pedagogicznych opiekunom.

To, co zobaczyliśmy w mieszkaniu, naprawdę jest zadziwiające. Wszędzie jest bardzo czysto, łóżeczka ładnie, równo pościelone. Ciepło i przytulnie. Rzecz znamienna — wielu mieszkańców Trzcianki okazuje tej grupie dzieci dużo serca, życzliwości i pomocy. Pieniądze przekazywane z Wydziału Oświaty z trudem pokrywałyby potrzeby mieszkańców Rodzinnego Domu Dziecka, gdyby nie pomoc ze wszystkich stron. Prezydium MRN darowało rodzinie cały dom, uwalniając Helaków od lokatorów. Inż. Zbigniew Michalski bezpłatnie opracował dokumentację rozbudowy i przebudowy „domu”, którą z kolei Prez. PRN, bez biurokratycznej mitręgi, zatwierdziło. Podłogę „dał” tartak, okna — Trzcianieckie Przedsiębiorstwo Przemysłu Terenowego, drzwi — MPGK i PSS, otynkowanie — Spółdzielnia Wielobranżowa, biurko — Bank Narodowy, Prywatny elektryk, Sobolewski, założył in-

stalację. Julian Dłużak zabezpieczył dach, stołów dostarczyła Trzcianiecka Fabryka Mebli. Urządzono świetlicę i salę jadalną dla dzieci. Kuratorium ofiarowało telewizor. Jest też radio z adapterem, cała masa zabawek ofiarowanych przez mieszkańców Trzcianki. Ostatnio dzieci otrzymały prezent w postaci 3 rowerów, pozostałych 11 kupiła mama z budżetu rodzinnego. Nawet trzcianieckie sklepowe troszczą się, ażeby dla dzieciaków Helakowej nie zabrakło świeżego prowiantu. Cennym sojusznikiem w poczynaniach Helakowej jest koło TPD, inspektor szkolny i przez miejscowej Spółdzielni Mleczarskiej, sprawującej patronat nad Rodzinnym Domem. Ich ambicją jest to, ażeby wszystkie dzieci otrzymały mieszkaniowe książeczki oszczędnościowe. W tym roku 15-letnia Janka dostanie oszczędnościową książeczkę mieszkaniową od Mleczarni. P. Helakowa zamierza założyć drugą taką książeczkę dla syna, który będzie się najlepiej uczył. I tak po kolei dla wszystkich. Żadne z nich nie pójdzie na niepewne...

Godzina obiadowa. Chłopcy otaczają „mamę” i „tatę” zwiartym kołem, przyglądają się ciekawie, opowiadają. Co będą robić po południu? Ano korzystać ze słońca, z wszelkich radości i wzruszeń, jakimi hojnie darzy wszystkich ładny ośrodek wypoczynkowy nad trzcianieckim jeziorem. Kim chcą być? Różnie — piekarzem, murarzem, traktorzystą, rzeźnikiem, znalazł się i lekarz. Co jedli na śniadanie? Bułki z dżemem, dostali czerśnie. Teraz smaczny obiad z trzech dań. Czy przychodzą do nich dzieci z Trzcianki? O, bardzo często, wspólnie się bawią, mama zawsze wymyśli jakieś rozrywki. Czy kochają tatę i mamę? Tego pytania nie zadawałem. Świadczą o tym roześmiane oczy, które wobec obcego z ufnością opierają swój wzrok na mamie i tacie, czując się przy nich bezpiecznie. Są zdrowi, pogodni, towarzyscy. Patrzą na najmłodszego, siedzącego na kolanach mamy, żywo opowiadającego o swoich dzieciennych sprawach. Dzieci, którym nierzadko życie nie poskapało najgorszych doświadczeń i przeżyć, tu, w rodzinnej atmosferze, odzyskały uśmiech i szczęście.

Z zainteresowaniem wczytuję się jeszcze w zapisy uwiecznione w kronice Rodzinnego Domu przez ludzi bliskich i zupełnie obcych. Słowa są proste, ciepłe, serdeczne, wyrażają podziw, uznanie i szacunek, a także podziękowanie za bezinteresowny trud. „Z głębokim wzruszeniem opuszczamy ten Dom, w którym panuje niepodzielnie miłość rodzinna” — czytamy na jednej z kart, na której figuruje pod tym kilkanaście podpisów. „Panią Helenę Helakową można porównać do słynnej tancerki i śpiewaczki Józefiny Backer, która adoptowała tak dużo sierot niemal ze wszystkich zakątków świata” — piszą inni. — Jakże jednak mama Helakowa jest w lepszej sytuacji, niż zdana na własne siły Józefina Backer, bowiem w wychowaniu rodziny pomaga nie tylko państwo, ale i trzcianieckie społeczeństwo.

Opuszczając Rodzinny Dom Dziecka Helaków przypomniało mi się, że takich Domów odzyskanego dzieciństwa mamy tylko kilka w kraju. Kropla w morzu. Widziałem i pisałem już o życiu malców w Domu Dziecka, o dzieciach chorych i upośledzonych w zakładzie specjalnym w Wieleniu, o tych, którzy — chociaż mają zapewniony dach nad głową, wyżywienie, troskliwą opiekę — życie poskapało ciepła rodzinnego i miłości, uczuć niezbędnych do normalnego rozwoju. Trudno o nie w tak dużym zespole.

Czy dzieci państwa Helaków zastanawiają się, dlaczego jest tak właśnie? Że życie do jednych się uśmiecha, a drugim pokazuje oblicze surowe i niechętnie? Czy znajdują na to pytanie odpowiedź?

Stawiamy to pytanie za nich, i choć bez upoważnienia, w ich imieniu. Może wówczas takich małżeństw jak Helakowie, zwyczajnych ludzi z sercem będzie więcej. Przekonuje zresztą o tym łańcuch dobrej woli wielu mieszkańców Trzcianki.

JERZY NIEDZIELSKI



Co robić dalej?

Wbieżącym roku zostało przyjętych na studia wyższe 47 000 osób. Do egzaminów wstępnych przystąpiło ich dwa razy tyle. Nie znaczyło to jednak, że w skali krajowej przypadło ściśle dwie osoby na jedno miejsce i tylko sprawą Komisji Egzaminacyjnej było, wybrać na studia „tego lepszego”. Niektóre kierunki bowiem były obsadzone wprost rekordową liczbą chętnych, na innych zaś istniały takie warunki, że wystarczyło zdać średnio dobrze, by się na uczelnię dostać.

Od bram uczelni odeszło w tym roku wielu młodych ludzi legitymujących się uzyskaniem 18—22 punktów, co przy zaostrzonych wymaganiach egzaminacyjnych było już samo w sobie nie lada sukcesem. Niedošli studenci są zawiedzeni i rozczarowani. Rodzice martwią się i denerwują, a wszyscy pytają — jak się trzeba uczyć, by się dostać na studia. Już trzy oceny dobre dają 16 punktów, a poza studiami zostali ludzie, którzy uzyskali tych punktów więcej i tylko przypadek sprawiający, że na wybranych przez nich kierunku był nadmiar kandydatów, spowodował, że na studia się nie dostali.

Jednocześnie wiadomo powszechnie, że gospodarka narodowa — mimo wzrastającej z roku na rok liczby studentów — cierpi na deficyt kadr najwyższej wykwalifikowanych. W roku 1964 deficyt ten wynosił 83 000 osób, a w roku 1975 wciąż jeszcze będzie zamykał się liczbą około 50 000 ludzi.

Czyż więc w takiej sytuacji jest rzeczą słuszną i właściwą odsunięcie od możliwości studiowania jednostek dobrze przygotowanych, często uzdolnionych? Czyż nie godzi to bezpośrednio w rozwój kulturalny i gospodarczy naszego kraju? Czy nie przynosi mu szkody?

Specjaliści odpowiadają, że niemożliwością jest automatyczne zwiększenie liczby przyjęć na studia, gdyż na każdego studenta musi przypadać określona suma „kubatury uczelnianej”. Pod tym określeniem należy rozumieć sale wykładowe, biblioteki, pracownie i laboratoria oraz wyposażenie tychże, no i oczywiście cały zespół socjalno-bytowy niezbędny dla studenta (domy akademickie, stołówki itp.). W naszych warunkach liczba studentów rosła szybciej niż nakłady inwestycyjne na szkolnictwo wyższe, co sprawiło, że obecnie mimo zwiększonych nakładów będzie ona wynosić zaledwie 55 m³ (pożądany wskaźnik — 80 m³).

Wskazania V Zjazdu PZPR postulowały aby tempo wzrostu kadr z wyższym wykształceniem wyprzedzało ogólne tempo wzrostu zatrudnienia, cyfry wskazywały bowiem, że np. w latach 1955—66 zatrudnienie w gospodarce uspołecznionej wzrosło ogólnie w 133,2 proc., natomiast liczba absolwentów szkół wyższych tylko w 97,5 proc.

Co więcej w okresie planu 6-letniego daliśmy się w dziedzinie liczby studentów na liczbę mieszkańców poważnie wyprzedzić przez inne kraje. I tak, chociaż w roku 1955 legitymowaliśmy się liczbą 57 studentów na 10 tys. ludzi i zajmowaliśmy trzecie miejsce w Europie po ZSRR i Holandii, to obecnie zajmujemy miejsce po Bułgarii i Grecji.

Opracowano u nas poważny plan rozwoju szkolnictwa wyższego i podwyższono kwoty wydatkowane na inwestycje. W bieżącej 5-letce przeznaczono na ten cel blisko 6 miliardów złotych, z czego tylko na rok bieżący, na rozbudowę i modernizację obiektów dydaktycznych, wyposażenie wyższych uczelni w nową aparaturę naukową, a także

na rozbudowę i budowę domów akademickich oraz stołówek — aż 1,2 miliarda. Planuje się ponadto poważny rozwój kadry naukowej i bazy uczelnianej, ale to wszystko, to dopiero „muzyka przyszłości”, zaś życie nie stoi w miejscu i każdy rok opóźnia dostarczenie gospodarce narodowej odpowiedniej ilości wysoce wykwalifikowanej kadry.

Cóż więc robić teraz, dzisiaj? Większość absolwentów, którzy zdali egzaminy, lecz nie dostali się na studia, zamierza próbować szczęścia w następnym roku, licząc że konkurencja będzie mniejsza w związku z przedłużeniem okresu nauki w szkołach średnich. Czyż nie szkoda jednak bieżącego roku? Wydział Elektroniki Politechniki Warszawskiej, który jak większość uczelni tego typu nie ma najlepszych warunków lokality (rzekomo główna przeszkoda) zastosował eksperyment przyjmowania na studia dwa razy do roku (w styczniu i w czerwcu). Czy nie można tego eksperymentu rozszerzyć na inne uczelnie, skoro jest tajemnicą Poliszynela, że w ciągu pierwszego roku studiów spora liczba przyjętych, z różnych przyczyn, studia te przerywa?

Czy jest ponadto absolutną niemożliwością reaktywowanie instytucji wolnego słuchacza, który mógłby w każdej chwili zastąpić tego, który uczelnię opuszcza, sam zaś swoją osobą nie absorbuje ponad miarę ani czasu kadry, ani też nie wymaga dodatkowych nakładów ze strony państwa? Mówi się, że takie rozwiązanie wymagałoby stworzenia dodatkowych i nadprogramowych warunków, co odbiłoby się niekorzystnie na sytuacji już studiujących. Czy jednak nie należałoby nieco zrewidować tego poglądu, bo trudno przypuszczać, że jest on poddyktowany niechęcią do podejmowania dodatkowych obowiązków i stwarzania sobie kłopotów.

Niewątpliwie bowiem, chociaż sprawa ta wymagałaby zastosowania właściwej organizacji i zajęłaby nieco czasu (choćby dodatkowe konsultacje czy jakaś opieka nad wolnymi słuchaczami) to jednak skoro np. podjęto tyle wysiłku by przybliżyć młodzież studiującą do ludzi pracy, choćby w ramach

praktyk wakacyjnych, to chyba warto również zrobić co tylko można, by dostarczyć gospodarce narodowej wykwalifikowaną kadrę wcześniej, skoro brak jej odczuwa.

Nie przynykajmy oczu. Cyfry wyraźnie wskazują, że deficyt taki wciąż istnieje i obowiązkiem wszystkich zainteresowanych jest uruchomienie możliwości, aby go zmniejszyć. Każdy stracony rok, to wyliczalne liczby młodzieży, która — jak w roku bieżącym — po pomyślnie zdanym egzaminie, nie może podjąć studiów, to opóźnienie dopływu młodych kadr do gospodarki narodowej, to pośrednio opóźnienie tempa naszego rozwoju.

Nie wszyscy rozpoczynający studia, kończą je w terminie, a wielu porzuca je bardzo szybko układając inaczej swoje dalsze życie. Czy wobec tego nie należy stworzyć swoistej rezerwy gotowej natychmiast zastąpić tych co nie wytrwali, i — czyż nie wyjdzie to nam wszystkim jedynie na korzyść?

Już w prasie i innych środkach masowego przekazu rozległy się głosy na ten temat. Już niektórzy dyskutanci wysilają pomysły i z gospodarską troską szukają środków, by polepszyć obecną niewesołą sytuację. Co więcej, liczby osób, które zdały egzamin, a nie zostały przyjęte na studia z braku miejsc, nie są, w skali krajowej, zastraszające (od 1964 r. do 1968 r. włącznie oscylują między ok. 9 a 17 tysiącami) i przy utrzymującym się procencie osób porzucających studia, mogą rokować nadzieję, że mogłyby ten procent skutecznie zmniejszyć.

Na razie, w chwili gdy w aulach uczelni rozbrzmiewa Gaudeamus ci, którzy pozostali za bramami szkół wyższych nie tracą czasu ni nadziei. W większości podejmują pracę nie rezygnując z indywidualnej nauki. Zapewniają kursy specjalistyczne, zapisują się na wykłady Towarzystwa Wiedzy Powszechnej i kursy języków obcych. Ci, którzy naprawdę chcą studiować nie rezygnują ze studiów przy pierwszym niepowodzeniu. Czekają na swoją szansę, są w pogotowiu. Wierzą i liczą na to, że jak nie dziś, to jutro, jak nie w tym roku, to w następnym wejdą z indeksami w bramy uniwersytetów.

Nie zapominajmy o nich. Dajmy im dodatkową szansę!

HABER

Uniwersytet Warszawski

Fot. E. Koprowski





Fotografie wodzów SS uświetniają muzeum w Elberfeldzie

„Bohaterowie nie umierają”...

to wydarzenie niemal pospolite, takie, jakich w NRF można wiele zaobserwować na każdym kroku.

Niejaki Erwin Schreiber był ponoć jeźdźcą podoficerem Wehrmachtu (w stopniu feldwebela), który odznaczony został jednym z najwyższych hitlerowskich odznaczeń wojskowych — „krzyżem rycerskim z dębowymi liśćmi”. Otrzymał to odznaczenie, jak zresztą tysiące innych wehrmachtowców jako „wyraz wdzięczności” za unicestwienie mieszkańców i żołnierzy krajów wschodniej Europy. Schreiber nazywał siebie „najwierniejszym żołnierzem Hitlera i realizatorem jego ideałów na polach bitew”.

Feldwebel Schreiber ze swoim odznaczeniem już od wielu lat więcej nie paraduje. Pozostał on na wieczne czasy „na Wschodzie”. Dosięga go sprawiedliwa kula żołnierza radzieckiego, broniącego swojej ojczyzny przed nawałą hitlerowskich ludobójców.

Lecz nie zapomniana o Schreiberze „demokratyczna” i „pokojowa” Bundeswehra Pokazuje się bowiem na wiecach, spotkaniach, przemarszach itd. jego wyłożony na zamkowej poduszce „krzyż rycerski z dębowymi liśćmi”. Oczywiście, ku „wiecznej pamięci dla potomnych”.

Wojenne „czyny” tego superzabijaki opiewane są — tak samo jak „czyny” wielu innych żołdaków ludobójczego Wehrmachtu — w Bundeswehrze, w szkołach zachodnioniemieckich, w rewizjonistycznej prasie itd. Śpiewa się też o Schreiberze piosenki.

Koszaram Bundeswehry w Imendingen, powiat Donaueschingen, w okręgu wojskowym nr V, nadano „niezwykle uroczyście” imię Schreibera. Też w dowód uznania „jego bohaterskich czynów na Wschodzie”.

Jeśli tak dalej pójdzie, to już niedługo znajdą się w NRF koszary imienia Hitlera, Goebbelsa i Göringa. Być może i nazwa Bonn zostanie zmieniona na Hitlerstadt...

gi, Josta W. Schneidera. Zdziwiłby się każdy członek naszych oddziałów widząc wszystkie te rzeczy, które kiedyś należały do jego ubioru i wyposażenia. Opaski prawie wszystkich dywizji „Waffen SS”, odznaki krajowe dywizji ochotniczej „SS”. To na parterze. Na piętrze domu chciałyby się stanąć na baczność przed Gruppenführerem Waffen SS schyłkowym nad mapą”.

Rząd krajowy północnej Nadrenii i Westfalii oddalił protesty zachodnioniemieckich antyfaszystów przeciw tej prowokacji z uzasadnieniem, że jest to sprawa prywatna i „człowiek ten zrobił to tylko dla siebie”. Tymczasem Schneider za pośrednictwem związków SS-mańskich wzywa do przekazywania mu „wszystkich pamiątek po SS i jej wodzach, które mogą zaginać ze stratą dla niemieckiego narodu”, a które powinny się znaleźć w jego muzeum. Prywatna inicjatywa?

Jako „prywatną sprawę” oceniło Bonn również ponurą profanację pamięci ofiar hitlerowskich kacetów, urządzoną przez grupy NPD w najstarszym hitlerowskim obozie w Dachau. Neohitlerowcy pobrali stamtąd ziemię, jako prezent na zjazd swojej partii. Protest b. więźniów Dachau władze bońskie uznały za „nieuzasadniony”.

„Prywatne inicjatywy” w bońskiej republice

Dla zakamuflowania intencji tych zawodów i ich organizatorów, Związek Lekkiej Atletyki NRF twierdzi, że nie ma on z tymi zawodami nic wspólnego i jest to prywatna inicjatywa organizatorów. Puchar przechodni dr Danz ufundował również jako „człowiek prywatny”, a nie jako prezes związku i tenże dr Danz zupełnie „prywatnie” napisał wstęp do programu wydrukowanego z okazji mistrzostw, wręczył „prywatnie” ufundowany przez siebie puchar przechodni z wrytymi słowami na mapie z granicami z 1937 r.: „Zawsze o tym pamiętajcie — to są także Niemcy — ojczyzna milionów wypędzonych”.

„Prywatne” zawody Herr Danza miały jednak niezbyt prywatny charakter. Były tam 15-letnie dzieciaki, startujące w barwach dawno nie istniejących klubów, takich jak „Preussen Stettin” (nasz Szczecin), „Germania Stolp” (nasz Słupsk) czy „Asco Koenigsberg” (radziecki Kaliningrad) i chłopcy pod wąsem, także urodzeni już w NRF, a biegający w sztafetach „Śląska”, „Pomorza”, „Gdańska” czy „Prus Wschodnich”.

A na zakończenie wręczenie dyplomów z mapką, na której nie ma NRD, na której nasze przastare ziemie, zakreskowane na ciemno, znajdują się koło napisu „To także są Niemcy”. Były — odpowiedzmy — i nigdy nie będą.

Oczywiście Polski Związek Lekkiej Atletyki złożył protest wobec montowania tego rodzaju odwetowych, „prywatnych” zawodów. Zaindagowany na temat tego protestu dr Danz arogancko oświadczył: „Przyszło jakieś pismo, ale nie znam na tyle polskiego, by je zrozumieć. Polacy powinni byli napisać po niemiecku...”

Zresztą podobnych „prywatnych inicjatyw” można w NRF znaleźć znacznie więcej. Oto jeden z przykładów, o którym z entuzjazmem rozpisuje się pismo byłych SS-mannów „Ochotnik”, w którym czytamy: „Tylko nieliczni przechodzący obok domu am Deckerhauschen 32 w Elberfeld, przeczuwają, jakie skarby kryją się w mieszkaniu naszego kole-



URKUNDE

hat an den Traditionswettkämpfen
am 16. August 1969 in Düsseldorf teilgenommen
und errang im _____
den _____ Platz mit _____

Traditionsgemeinschaft der Leichtathleten
aus den deutschen Ostgebieten e. V.

Dyplomy rozdawane na zawodach pana Danza

Jak wiadomo, najbliższa Olimpiada w 1972 r. ma odbyć się w NRF, w Monachium. Już teraz sportowi działacze bońscy przygotowują się do igrzysk ale w sposób niespotykany w międzynarodowych kontaktach sportowych. Po prostu chcą przyszłą olimpiadę wykorzystać pod kątem odwetowej, rewizjonistycznej propagandy i popularyzowania teorii o tzw. wschodnim niebezpieczeństwie. Przewidują oni organizowanie szeregu odwetowych imprez wszelkiego rodzaju, m.in. wielkiej wystawy makiet „niemieckiego budownictwa kultury”, będących kopią polskich zabytków architektonicznych itp. Odpowiednią atmosferę urabia się już dzisiaj. Przykładem tego stały się rozegrane ostatnio lekkoatletyczne mistrzostwa NRF połączone ze spotkaniem „młodych sportowców z niemieckich terenów wschodnich.” Ta jawna prowokacja, wymierzona przeciwko krajom socjalistycznym, odbyła się pod protektoratem ministra pracy i opieki społecznej Pln. Westfalii — Wenera Figgena oraz sekretarza generalnego Komitetu Olimpijskiego NRF i przewodniczącego Związku Lekkoatletycznego, dr Maxa Danza.



SWIAT na którym żyjemy



SWIAT na którym żyjemy



SWIAT na którym żyjemy

departament

Główna część obchodów, związanych z uroczystością obchodzoną we Francji 200 rocznicą urodzin Napoleona, przypominała nie tylko Francuzom rodzinną wyspę Bonapartego, gdzie przyszedł on na świat w mieście Ajaccio. Przy okazji tej uświadomiono sobie stosunki nie od dziś panujące na tej wyspie. Zgodnie z tradycją rozpoczętą przez Napoleona, niemal wszystkie rządy francuskie zaniebijały całkowicie „dziewięćdziesiąty departament”, czyli Korsykę.

Korsykanie od dawna związani są z partią gaulistowską i w każdych niemal wyborach 70—80 procent oddanych głosów pada na kandydata UDR. Ostatnio jednak ich rozgoryczenie doszło do tego stopnia, że zaczynają nazywać Korsykę „ostatnią kolonią Francji”. Korsyka jest bowiem zacofana gospodarczo o dobre kilkadziesiąt lat w stosunku do metropolii. Dochód przypadający na głowę ludności jest tu aż o 20 procent niższy, niż przeciętna w skali ogólnokrajowej.

Mimo napływu turystów, Korsyka nie posiada ani dobrych dróg, ani też rozwiniętej sieci hoteli i restauracji. Niemal zupełnie pozbawiona jest przemysłu, jako że brak tu bogactw naturalnych. Rolnictwo także stoi na nie najlepszym poziomie, a sytuację pogarsza fakt, że te same produkty metropolia może mieć po niższych cenach z Hiszpanii, Portugalii czy Maroka, gdzie np. owoce cytrusowe dojrzewają o parę tygodni wcześniej. Na Korsyce osiedliło się po 1961 r. ponad 15 tys. byłych kolonów z Algierii. Ponieważ otrzymali oni pomoc finansową od rządu, a ponadto należeli do ludzi o wiele bogatszych od rdzennej ludności korsykańskiej, wykupili najlepsze plantacje na wyspie i obecnie tworzą warstwę obszarników.

Francuzi twierdzą że przyczyną zła jest przysłówiowe lenistwo Korsykanów. O wiele lepsi, ich zdaniem, są robotnicy algierscy, którzy też stanowią ponad 50 proc. personelu na plantacjach. W rzeczywistości chodzi po prostu o to, że robotnicy-imigranci żądają o wiele mniej za swą pracę.

Korsykanie odgrywają pewną rolę w życiu samej metropolii. Z racji zacofania gospodarczego rodzinnej wyspy, tysiące ich emigruje na kontynent, gdzie podejmują pracę w administracji, w wojsku, paru z nich jak Comiti, Ortoli czy Peretti osiągnęło nawet teki ministerialne. Są to jednak ludzie pochodzący z bogatych rodzin. Natomiast inni Korsykanie odgrywają czołową rolę we francuskim świecie przestępczym. Dzięki powiązaniu z mafią włoską i amerykańską, opanowali takie dochodowe dziedziny jak handel narkotykami, domy gry itp. Oczywiście i oni należą do grupy nielicznych. Ci, najliczniejsi uważają się za Francuzów drugiej klasy, którym koligacje z Napoleonem nie ostadzają życia.

Jednocześnie prokuratura zachodnioniemiecka wszczęła obecnie śledztwo wobec lekarza podejrzanego o próbę dokonania zamachu na życie Hitlera. Zaczęło się od tego, że hamburski tygodnik „Stern” zakończył ostatnio serię artykułów o chorobach wodza III Rzeszy. W jednym z nich napisał, iż b. nadworny lekarz Hitlera, dr Erwin Giesing zauważył kiedyś u swego pacjenta objawy zatrucia kokainą i mimo to zastosował ponowną dawkę tego narkotyku, co mogło okazać się niebezpieczne dla życia Hitlera. Tygodnik odnotował następującą refleksję lekarza: „W tym momencie ogarnęło mnie pragnienie, by Hitler przestał istnieć”.

Refleksja ta spowodowała dla lekarza, praktykującego obecnie w NRF, oplakane konsekwencje: prokuratura wystąpiła pod jego adresem z oskarżeniem o „próbę dokonania zbrodni”. W uzasadnieniu oskarżenia stwierdza się m.in.: „ówczesny lekarz sztabowy podjął w roku 1944 próbę dokonania zabójstwa pana Adolfa Hitlera, urodzonego 20.4.1889 poprzez zaaplikowanie swojemu pacjentowi niebezpiecznie podwyższonej dawki kokainy”.

Wszystko to jest pozornie niezrozumiałe dla kogoś logicznie rozumującego. Ale tylko pozornie...



Ogromna huta miedzi w mieście Kitwe w połowie należy już do państwa zambijskiego.

„Zaraźliwy” przykład Zambii

Ogromne wrażenie w świecie kapitalistycznym wywarła decyzja Zambii o przejęciu przez państwo 51 proc. udziałów towarzystw prowadzących wydobycie zambijskiej miedzi. Wydobycie miedzi w Zambii ma zasadnicze znaczenie nie tylko dla gospodarki tego kraju, lecz również dla gospodarki światowej. Zambia jest trzecim producentem miedzi na świecie — po USA i Związku Radzieckim. W ub. roku kopalnie w Zambii wydobły 750 tys. ton miedzi, co stanowiło 95 proc. eksportu kraju. Wartość sprzedanej miedzi i kobaltu wyniosła 311 mln funtów szterlingów.

Eksploatację dóbr naturalnych, w sposób rabunkowy, prowadziły dotąd w Zambii dwa koncerny: „Anglo-American Corporation” i „Roan Selection”, które zainwestowały ogółem 500 mln funtów szterlingów. Prezydent Zambii, Kenneth Kaunda, informując o decyzji swego rządu oświadczył, że po przekazaniu 51 proc. akcji przedsiębiorstwa zagraniczne będą mogły nadal, przez 25 lat, wykorzystywać koncesje pod warunkiem utrzymania odpowiedniej wysokości wydobycia. Prezydent dodał, że rząd nie dysponuje pieniędzmi, by spłacić przejęte akcje i że spłata nastąpi w formie przyszłych dywidend. W najbliższym czasie rząd Zambii zwróci się do różnych grup kapitału na całym świecie, by przy współpracy z państwem przystąpiły do rozbudowy kopalnictwa i wydobycia w rejonach jeszcze nie eksploatowanych. Podkreślił on ponownie, że wszelkie koncesje przyznawane będą jedynie na 25 lat i państwo zatrzyma co najmniej 51 proc. akcji.

Jednocześnie Zambia zapowiedziała ograniczenia w imporcie i podjęcie dużych inwestycji państwowych. Zambijskie decyzje budzą duży niepokój wśród amerykańskiej i angielskiej finansjery, która określa je jako „bardzo zaraźliwe”. Nie też dziwnego, że sfery te popierają kolonializm portugalski, który jest największym wrogiem Zambii. Zbrojne prowokacje Portugalii wobec Zambii znalazły się nawet w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Zbrojnych prowokacji dopuszczają się Portugalczycy z terenów swojej wschodnioafrykańskiej kolonii, Mozambiku i z Angoli. Kolonizatorów portugalskich łączy

ścisły sojusz z Rodezją i Republiką Południowej Afryki. Wszyscy trzej sprzymierzeńcy boją się ruchów wyzwoleniczych czarnej ludności w swoich krajach a Zambię uważają za kraj, z którego promieniają wyzwolenicze aspiracje. Po licznych nalotach samolotów portugalskich na obszar Zambii i przekroczeniu granicy przez wojska portugalskie, Zambia wniosła skargę do ONZ. Skarga Zambii uznana została jako sprawa przykładowa. Zdecydowana większość państw afro-azjatyckich, członków ONZ, energicznie poparła — wespół z państwami socjalistycznymi — skargę Zambii. Cztery państwa afro-azjatyckie — Senegal, Algieria, Pakistan i Nepal — przedstawiły projekt rezolucji, wzywającej Radę do potępienia ataków wojskowych, podejmowanych na pograniczne tereny Zambii, ataków stanowiących — jak głosi projekt rezolucji — groźbę dla sprawy pokoju i bezpieczeństwa. W podobnym duchu wypowiedział się delegat ZSRR.

W toku debaty przedstawiciele państw afro-azjatyckich gwałtownie podkreślali, iż Portugalia używa broni dostarczanej przez NATO do walki z narodami Mozambiku, Angoli, Gwinei-Bissau i do wypadów zbrojnych przeciwko Zambii.

Czarni górnicy wydobywają nie mniej od białych górników, ale amerykańskie koncerny płacą im zaledwie jedną trzecią tego, ile otrzymują biali.



Obrona Modlina

O świcie 13 września wracamy do Modlina. Mijamy po drodze dwóch hitlerowskich czołgistów pod naszą strażą. Są to młodzi chłopcy chyba z Hitlerjugend. Obydwa blond-plotwi o niebieskich oczach i hardym spojrzeniu. Chociaż w niewoli, są butni i ironiczni. Nasi żołnierze widzą hitlerowców tak z bliska po raz pierwszy. Toteż marudzą i opóźniają swój przemarsz jak tylko się da, chcąc nasycić swe oczy tym małym zwycięstwem.

Docieramy wreszcie do magazynów amunicyjnych w Palmirach. Są to składy amunicyjne dla Warszawy i Modlina. Przed magazynem kilkanaście czerwonych autobusów z Warszawy. Tramwajazre w swoich mundurach ładują do nich skrzynki z amunicją. Ale nasz pułk nie nie zabiera. Ciągają się przede mną puste wozy kompanii administracyjnej pułku, różne wozy przykuchenne wszystkich kompanii, biedki pod maszynowe karabiny. Żadna jednakże nie przystaje i nie uzupełnia dla pułku amunicji. A przecież w twierdzy chyba będziemy dłużej stać! Czy tam jest dosyć amunicji, czy więcej niż w Warszawie?

Dotarliśmy do wsi Adamów tuż na skraju lasu. Jutro maszerujemy do Kazunia Polskiego. Stamtąd w ciągu dnia poprzez most na Wiśle i Nowy Dwór do Okunina, aby znowu po upływie nocy za dnia odbyć drogę powrotną. Nasza wędrówka między Kazuniem a Okuninem to nie innego jak szukanie właściwego miejsca postoju dla tak cennego odwodu. Nikt nie wie, gdzie go ulokować, więc krążymy po groblach i mostach ohszału Modlina. A jest nas w dywizji niemało, bo ponad 10.000 ludzi.

Pułk nasz otrzymuje miano „odwodu twierdzy”. Wiemy, co to znaczy. Będziemy zapychać wszelkie wyrwy w pierścieniu obrony i będą nas używać do różnych wypadów rozpoznawczych czy odciażających.

18 września otrzymujemy ciepłą bieliznę. Gdy w sadach Kazunia wdziewamy te skarby, samoloty hitlerowskie zrzucają ułotki zawiadomieniem, że rząd polski i Rydz-Śmigły uciekli do Rumunii, a Armia Czerwona wkroczyła na Zachodnią Białoruś i Ukrainę. Hitlerowcy wzywają nas do złożenia broni. Ułotki te nikogo nie załamały. Hitlerowcy tymczasem odczekali jeden dzień na efekt. Gdy nie wywieszono białych flag, uderzyli na Modlin całą nawałą ognia i żelaza.

Najwięcej dostawało się sztabom i odwodom, a więc i nam. Hitlerowcy pierwszej linii nie bombardowali ani samolotami, ani artylerią, aby nie razić swoich okopów. Siedzieliśmy w płytytkach rowach strzeleckich, różnego rodzaju dziurach w ogródkach i na polu, pod całkowicie otwartym niebem, bez żadnego lotniczego parasola i ochro-

ny dział przeciwlotniczych. Okazało się również, że „zamknięci w twierdzy pustej” zaczynamy odczuwać brak amunicji. Wprawdzie wszystkie cztery dywizje broniące Modlina przeszły Puszczę Kampińską i okok magazynów w Palmirach, ale prawdopodobnie tak jak i mój 13 pułk — nie zabraly po drodze ani jednego pocisku.

Trzeba więc po okresie pochopnej lekkomyślności poważnie zająć się Palmirami. Pierwszy batalion 13 pułku miał rozpoznać w nocy z 22 na 23 września, co dzieje się z magazynami w Palmirach. Jak uprzednio — znowu idę jako szpic na trasie Kazuń Polski — Adamów — Palmiry — Częstków — Kazuń Polski. Jako dowódca szpicu dostaję raketnice do regulowania długości ognia artyleryjskiego. Zgrywamy zegarki i o zmroku ruszamy. Idę tuż za czołowymi saperami, przy mnie Lewandowski. Zanim doszliśmy do Adamowa, nasza własna artyleria oblażyła nas nawałą ogniw. Na szczęście bez wypadku. Podaję rakieta rozkaz wydłużenia ognia. Na próżno. Przed nami i Adamowem prawdziwa zapor artyleryjskiego ognia. Nie ma innej rady, trzeba ją szybko przeskoczyć. Daję rozkaz do skoku, lecz dział zamilkły. Za to z domków Adamowa wyskoczyły na nas hitlerowskie samochody pancerne. Daję rakieta sygnał „otwórz ogień”. Artyleria nie odzywa się. Ktoś rzuca złośliwie: „wysztrelali swoją porcję na nas i poszli spać”. Trudno. Granaty w ręce i skok do chalup. Od tyłu słychać już okrzyk: „pepance do przodu, pepance do przodu”. Nim dojechały działka przeciwpancerne i zanim dobiegłem do chalup, coś mnie jak ogniem raziło w lewe udo. Zwalilem się na ziemię. Ale był już przy mnie Lewandowski i złapałszy za ręce jak dziecko powłóki do chalup Adamowa. Nasze działka przeciwpancerne ustrzeliły jeden samochód pancerny. Droga do Palmir była wolna. Lewandowski zakrzęknął się za lekarzem lub sanitariuszem. Daremnie. Na nocny wypad batalionu zapomniano wziąć kogoś ze służby sanitarnej. Założyłem opatrunek osobisty na udo, a Lewandowski ulokował mnie wprost na działku przeciwpancernym.

Nie wiem z czyjego rozkazu, ale do Palmir nie dotarliśmy. Przeszliśmy natomiast hrzegiem lasu do Częstkowa, by rankiem wrócić do Kazunia Polskiego.

Nasz nocny rajd wzhudził wiarę w możliwość uzyskania amunicji z Palmir. Z nastaniem nocy II i III batalion 13 pułku zabrawszy ze sobą puste wozy ruszyły po złote runo. Ich szlak był odmienny od naszego. Poszli trasą Kazuń Polski — Częstków. Hitlerowcy jednakże nie dali się zaskoczyć. Nasi natrafili na tak silny ogień wroga, że mimo wysiłków nie zdołali przebić się przez ich ogień zaporowy. Wrócili z niczym.

Alte walka o amunicję ustać nie mogła. W nocy z 24 na 25 września szlakiem na Częstków poszedł na wypad cały 13 pułk zabierając ze sobą około 100 wozów. Klekot tych wozów sunących po nocy szosą biegnącą po watach słychać było daleko. Nic więc dziwnego, że hitlerowcy nie dali się zaskoczyć. Pułk wpadł w prawdziwą pułapkę. Stało się jasne, że do Palmir nie dotrzemy. Nad załogą Modlina zawisła groźba pustych ładownic i widmo głęsi.

Zanim wiadomość o klęsce pułku dotarła do Kazunia, wyjechałem wozem przykuchennym kompanii do szpitala w Modlinie. Furmanił Lewandowski. Miałem gorączkę, a noga puchła i zieniala. Podporucznik Zmysłowski nalegał na wyjazd. Bał się zakażenia. Bez przeszkód dotarliśmy do twierdzy. Izba przyjęć mieściła się w jednym z wewnętrznych fortów. Tam też nas skierowano. Złazłszy z wozu, opierając się o ramię Lewandowskiego, pokużykałem do wnętrza fortu. Od wejścia prowadził długi tunel-korytarz, gdzie ku memu przerażeniu na ziemi podparci plecami o ściany siedzieli rzedem żołnierze bez rąk, nóg w kałużach krwi, już chyba martwi.

Dopadłem wewnętrznych drzwi. W małym pokoiku ten sam obraz. Z jedną odmianą. Pod oknem jakiś sierżant piłką żelazną podobną do laubzgi zawzięcie piłował kolano jakiegoś już dawno zemdlonego żołnierza. Przy nim stała kobieta lat około czterdziestu z narzuconą kurtką na ramiona, z odznakami kapitana. Okok niej może piętnastoletnia dziewczyna w letniej sukience w duże kwiaty. Była może godzina ósma, 25 września. Cicho kucnąłem w kącie. Przyglądałem się obecnym. Nikt ani drgnął. Sierżant piłował dalej kolano, kobiety stały milcząco. Wreszcie starsza odezwała się do mnie: — A co panu dolega?

Opowiedziałem jej jak i co i że mój lekarz batalionowy wysłał mnie na prześwietlenie rentgenem. Kobieta uśmiechnęła się lekko. Rentgen w twierdzy — toś to nieporozumienie. Wprawdzie Modlin był do 1 września 1939 roku składnicą sanitarną DOK I, ale nikt o tym aparacie na wojnę nie pomyślał. Zawstydzilem się swego pytania. Lecz kobieta dała się wciągnąć w rozmowę. Była lekarzem. Na ochotnika razem z 15-letnią dziewczyną zgłosili się do twierdzy. Już od 18 godzin ma dyżur w punkcie pierwszej pomocy.

— Jak to — dziwiłem się — nie ma tu lekarzy mężczyzn? I to wtedy, gdy 13 pułk przez trzy noce dokonywał wypadów?

Już nie chcę, żeby oglądała moje udo. Ale upiera się. Ustupię. Kiwa głową, daje zastrzyk, rozkłada ręce. Nie ma żadnych środków poza piłą sierżanta, który jest felczere.

Nie wierzyłem dotychczas, ale teraz wiem, że okropieństwo wojny najbardziej jest wstrząsające na pierwszym punkcie opatrunkowym. Jest tu ono niejako zmasowane.

Wracamy do Kazunia. Batalion obejmuje major Mazur. Nocą idziemy do Okunina. Tam w terenie pomiędzy szosą Nowy Dwór — Legionowo jest nasze nowe stanowisko. Kopiemy nocą nowe rowy obronne według własnego doświadczenia. Żołnierze niechętnie widzą rowy łącznikowe. Wolą pojedyncze dziury-studnie, gdyż trudniej trafia w nie pocisk artyleryjski i lotnicza bomba. Teren paskudny, całkowicie otwarty. Artyleria hitlerowska doskonale wstrzelana. Z góry widać nas jak na patelni. Po nocnym ryciu stanowisk od razu odczuliśmy dobrodziejstwo nowej pozycji. Artyleria hitlerowska z Chotomowa zasypała nas nawałą pocisków, a lotnictwo jak na paradzie zrzuca swe ciężkie ładunki. Od jednej takiej bomby lotniczej zginął cały III pluton naszej kompanii, zostawiając po sobie głęboki krater wypełniony białutkim piaskiem.

Nocą, gdy hitlerowcy nie strzelają, przesuwamy swe stanowiska o 50 metrów w przód lub w tył, aby chociaż trochę zmilić celownikowi nieprzyjacielskiej artylerii. Na większy manewr nie mamy miejsca. Przed lotnictwem natomiast nie ma żadnej ucieczki. Zazdrościliśmy tym z pierwszej linii, bo na nich — z uwagi na bliskość własnych okopów — Luftwaffe nie zrzuciła bomb i artyleria też ich nie grzmociła. My natomiast skazani byliśmy na pełną zagładę. Codziennie też było nas mniej żywych i całych. Do braku amunicji i środków opatrunkowych doszedł jeszcze brak żywności, a gdy w dniu 27 września dotarła do nas wiadomość, że Warszawa kapituluje, wiedzieliśmy, że godziny Modlina są policzone.

Ranek 29 września był najgorszy. Nieustanny huk i loskot pocisków doprowadził nas prawie do szalu. Toteż, kiedy o godzinie dziesiątej wyszedłem z okopu, aby raczej dać się zabić, niż siedzieć dłużej w tym piekle, ze zdziwieniem zorientowałem się, że nikt nie strzela. I wtedy na wieży w twierdzy zobaczyłem na wietrze łopoczącą białą flagę. A więc kapitulacja. Koniec męki.

Z nastaniem ciszy, ze wszystkich dziur powychodzili żywi żołnierze. W oszalości stali nad swymi okopami. Nikt się nie cieszył, nie smucił. Poszedłem do dowódcy batalionu, aby dowiedzieć się czegoś więcej...

7.IX.1939 r. Poddaje się osamotniona załoga Westerplatte. Wojska polskie tworzą linię obrony na Narwi, Sanie i Wiśle. Gen. Kutrzeba walczy nad Bzurą. Upadają: Modlin i Hel. Ostatni kapituluje gen. Kleeberg — w początkach października — po stoczeniu bitwy pod Kockiem (na zdj.)



Warszawa da się lubić

Minęło 25 lat od chwili wyzwolenia Warszawy. W każdej gazecie codziennej i w wielu czasopismach czytaliśmy wiele o Warszawie. Jak przez te wszystkie lata odbudowywała się najpierw z ruin, jak stopniowo znikaly ślady minionej wojny, jak rosła i piękniała aby stać się nowoczesnym, rozległym miastem godnym miana stolicy. A przecież nikt, kto widział kiedyś ruiny przedwojennej Warszawy, nie śnił nawet o tym, by mogła stać się jeszcze ładniejsza, niż była dawniej. Bo jest niby ta sama, ale właściwie inna...

Przechodząc przez różne dzielnice Warszawy zaczniemy przegląd od dzielnic historycznych: Mariensztatu, Starego Miasta, Nowego Miasta, skąd prowadzi w kierunku południowym najstarszy szlak Warszawy: Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat, Plac Trzech Krzyży i Aleje Ujazdowskie.

W XIX wieku Mariensztat był brudną, zaśmieconą uliczką. Jeżeli ktoś z Was czytał „Sierocą dołą” Bolesława Prusa, to przypomni sobie, jak mały bezdomny bohater tego opowiadania nocował na Mariensztacie w pustej beczce po cukrze. A przecież w XVII wieku Mariensztat był uroczym miasteczkiem, z białymi kamieniczkami pokrytymi czerwonymi dachówkami. Odbudowano także Stare Miasto, odtworzona została zgodnie z najstarszymi wzorami zabudowa Rynku, gotyckie, miejskie kamieniczki, łukowate sklepienia sieni, renesansowe balkoniki. Nad pocztą zabłysła złocista trąbka, nad apteką — wąż, symbol medycznej wiedzy. Otworzyły swoje podwoje fukierowska winiarnia, kawiarnia „Pod Krokodylem”, w której kelnerki ubrane są w stroje dziewcząt z dawnej Warszawy. Kamieniczki są kolorowe, złocone ozdoby i napisy — gdy tylko zaczyna się wiosna, tłumy wycieczkowiczów z kraju i zagranicy zwiedzają Stare Miasto, fotografują, zachwycają się, ulegając czarowi podróży w czasie, którą odbywają w samym sercu Warszawy XX wieku.

Odbudowano także Barbakan (jeden z niezliczonych w Europie), stare kościoły na Nowym Mieście — kościół Sakramentek ufundowany przez królową Marysienkę Sobieską, a dalej kościół Panny Marii z uroczą żelazną studzienką odnalezioną w gruzach. Wokół kamieniczki nowomiejskie ozdobione pięknie. Krakowskie Przedmieście jest takie jakim było w XVII i XVIII wieku, ze wszystkimi pałacami i kościołami. Dalej Nowy Świat — budowany w XVIII i XIX wieku dla szlachty, która także chciała mieć swoją ulicę, jak magnaci Krakowskie Przedmieście. Niestety, jest i na tym szlaku pewna bolesna luka — brak Zamku Królewskiego pomiędzy Starym Miastem a Krakowskim. Ale cóż — idźmy dalej z Nowego Świata i na plac zwany niegdyś placem „gdzie krzyże złocone”, potem placem Aleksandra i wreszcie Placem Trzech Krzyży. Na środku wznosi się zabytkowy kościół św. Aleksandra, dzieło budowniczego Aignera z XIX wieku. Za placem Aleja Ujazdowska — wiodąca do Łazienek i Belwederu, niegdyś ulica bogaczy, niewiele różniła się swym obecnym wyglądem od przedwojennej ulicy: dużo zieleni, wśród drzew i ogrodów białe wille, a w alejach w pogodne dni przechadzają się mieszkańcy Warszawy. Tu przecież znajdują się najładniejsze parki — poza Łazienkami, park Ujazdowski i Ogród Botaniczny.

Na Belwederze kończyła się dawna Warszawa, dziś zaczyna się tu olbrzymia, nowoczesna dzielnica dolnego Mokotowa, jedna z najładniejszych dzielnic nowej stolicy. A jest ich tak wiele, że niestety, trudno opowiedzieć o wszystkich osiedlach mieszkaniowych, składających się z pięknych, nowoczesnych bloków mieszkalnych, ukwieconych wiszącymi ogródkami, malowanymi barwnie i wesoło. Dodajmy jednak parę słów o pewnych punktach Warszawy, które dzięki przebudowie zyskały na urodzie. Np. ulica Krucza — ta przedwojenna Krucza była okropna. Odrapane kamienice, szpetne domy, w wnękach widać było gipsowe figury, na klatkach schodowych kolorowe okna, z których można było obejrzeć ciasne, małe podwórczka. Kru-



Fot. E. Adamski

czą odbudowano zupełnie inaczej — obecnie przedstawia ona — zwłaszcza wieczorem, gdy zapłoną neony — obraz wielkowiejskiej arterii. Tak samo inaczej wygląda Marszałkowska, a szczególnie MDM, z placem Konstytucji. Początkowo nawet wielu warszawiaków nie mogło przyzwyczaić się do takiej zmiany — MDM nie ma bowiem nic wspólnego z dawną Warszawą. No cóż, wprawdzie kandelabry na placu Konstytucji mogą się podobać lub nie, figury stojące we wnękach domów nie odznaczają się wielkim artystycznym, ale wieczorem w świetle latarni i neonów powstaje tu prawdziwy, wielkowiejski plac godny stołecznego miasta.

Place Warszawy najwięcej się zmieniły. Poza placem Konstytucji przybył Warszawie ogromny plac Defilad przed Pałacem Kultury i Nauki — inne przebudowano. Rozrósł się dawny plac Bankowy (obecny Dzierżyńskiego), powracają z wolna do dawnego wyglądu plac Teatralny przed Teatrem Wielkim i plac Kasińskich wciąż jeszcze zaniedbany. Plac Saski (dziś Zwycięstwa) zachowany w pamięci przedwojennych warszawiaków jako wesoły, od strony Ogrodu Saskiego obramowany kolumnadą palacową, a po przeciwnej stronie ożywiony, pełen kawiarni, sklepów, znajdujących się przy gmachu Hotelu Europejskiego — dziś — plac ten jest smutny. Z pięknej kolumnady pozostał tylko Grób Nieznanego Żołnierza.

Jeszcze kilka słów o pomnikach. Okupant hitlerowski zniszczył całkowicie pomniki warszawskie. Obecnie powróciły one naokoło z tym, że dwa z nich zmieniły miejsce swego pobytu. Pomnik Kilińskiego stanął na Podwalu, a nie na placu Kasińskich, gdzie stał przed wojną. Pomnik księcia Józefa Poniatowskiego, dłuta wielkiego rzeźbiarza duńskiego Thorwaldsena, z placu Saskiego przeniesiony został na Krakowskie Przedmieście pod Urząd Rady Ministrów. Inne pomniki wróciły tam, gdzie były dawniej — król Zygmunt Waza na plac Zamkowy, król Jan Sobieski na most koło Łazienek, Mikołaj Kopernik i Adam Mickiewicz na Krakowskie Przedmieście. Wreszcie Fryderyk Chopin pod swą spizową wieżką znalazł się znowu wśród zieleni parku Łazienkowskiego. Do tych dawnych doszło kilka nowych pomników, przede wszystkim Nike na placu Teatralnym — pomnik Bohaterów Warszawy, którzy w pierwszych dniach września i w okresie okupacji złożyli swoje życie w ofierze o wolną Ojczyznę. Im bowiem zawdzięczamy to, że dziś możemy cieszyć się wolnością i żyć w coraz piękniejszej i bliższej naszym sercom Warszawie.

Zdjęcia sztychów F. Dietricha (Gabinet Rycin U W.)



Widok Krakowskiego Przedmieścia



Plac Zamkowy z kolumną Króla Zygmunta III



Widok Mennicy Królewskiej



Zautomatyzowany aparat do produkcji bębnow karbidowych



Wydział Gazów Technicznych. Sprężarka powietrza



Spust ciekłego karbidu z pleca

Praca w pomocniczym warsztacie ślusarskim



ZOSTAŃ CHEMIKIEM

**W Zakładach Azotowych
im. Pawła Findera
w Chorzowie**

**„AZOTY” oferują Ci pracę
w każdym zawodzie:**

● murarza ● betoniarza ● cieśli ● stolarza ● spawacza ● formierza ● modelarza ● aparatowego ● maszynisty lokomotyw spalinowych ● kierowcy

Zatrudnienie znajdą również:

● socjologowie
● inżynierowie
● technicy
● oraz pracownicy niewykwalifikowani

Zamiejscowym zapewnia się zakwaterowanie w pokojach 2-4 osobowych w Domu Chemika. Mogą oni korzystać z przyzakładowej stołówki płacąc za obiady 270 zł miesięcznie.

Pracownicy niewykwalifikowani mają dużą szansę zdobycia wybranego przez siebie zawodu poprzez uczęszczanie na kurs zawodowy lub naukę w zasadniczej szkole zawodowej i technikum.

**ZDECYDUJ SIĘ SZYBKO
„AZOTY” CZEKAJĄ NA CIEBIE!**



Ciepły kostium

Lato mamy więc za sobą i czas najwyższy zająć się ciepłym jesiennym kostiumem. To okrycie jest niezwykle praktyczne bowiem można je nosić nie tylko jesienią, lecz także w cieplejsze dni zimowe, a na wiosnę będzie również „jak znalazł”.

Tegoroczna moda jesienna przewiduje trzy długości spódnic: dziesięć centymetrów przed kostkę, do kolana i pięć centymetrów nad kolaniem, ta ostatnia długość — aż strach pomyśleć — stała się już tradycyjną!

Wszystkie dodatki od pantofli, rękawiczek poprzez sweterki, paski oraz nakrycia głowy i pończochy są niestety w jednolitym kolorze. Piszemy niestety, bo wiem wiemy ile trudności następcza skompletowanie takich właśnie dodatków. Nie przewidujemy natomiast żadnych

kłopotów z wyszukaniem odpowiedniego materiału na kostium. Szyjemy go z niskoprocentowej wełny lub z „setki”. Najlepiej z materiału grubo tkanego, o workowatej fakturze z szorstkiego włókna. Należy przy tym pamiętać, że tego rodzaju tkanina lubi wyciągać się i wypychać, dlatego nawet spódniczkę szyjemy na grubej podszevence. Jeśli chcemy żeby kostium służył nam również zimą należy podbić zakiet watoliną i ozdobić futrem. Również ładnym połączeniem jest gładka, ciepła kurtka wraz z kraciastą spódniczką — ten zestaw bardzo chętnie noszą nasze córki — my zaś uszyjemy sobie kostium, lecz raczej w jednolitym kolorze. Dziś prezentujemy trzy modele:

1) spódniczka w szkocką kratkę w głębokie fałdy. Czapczka i szalik z tego samego materiału i ciepła flauszowa kurtka na watolinie.

2) Prosty angielski kostium w dyskretnej kratce. Długi zakiet z wylogami, skośnie cięte kieszenie. Spódniczka nierozszerzana, z tyłu z kontrafałdą.

3) Twidowy komplet składający się ze spódniczki, której przód i tył ułożone są w fałdy i sięgającej tylko do bioder, oraz bluzy, ujętej w średniej szerokości pasek. Małe wylogi i dwie małe poziome kieszenie ozdobione guzikami charakteryzują zakiet.

Pielęgnacja włosów

Pani Ela N. pisze: „ratuj Bello! Mam bardzo cienkie włosy, a przy tym, teraz — po lecie, może i po chodzeniu po słońcu, bez nakrycia głowy — byłam nad morzem — zrobiły mi się tak rzadkie, wysuszone i nędzne, że obawiam się, iż zupełnie wyłysię. Co zrobić?”

Proszę spróbować następującej kuracji. Jest ona szczególnie korzystna na włosy cieniotkłe jak pajęczyna. I na włosy wysuszone, spalone słońcem, choć również i na włosy przetłuszczone, ale u osób dojrzałych, nie u młodzieży.

Trzeba wziąć 2 świeże żółtka oraz kupić w aptece dwie małe buteleczki rycynusu. Z tych dwóch składników utrzeć coś w rodzaju majonezu czy kremu. Po prostu do garnuszka wbić żółtka, wlać zawartość tych 2 buteleczek z rycynusem i ucierać pałką, czy zwyczajną łyżeczką — przez jakieś 5 minut, aż masa nieomal zbieleje.

Następnie ten „majonez” wcierać w skórę głowy, odgarniając pasma włosów tak, jak do nakładania farby. Potem sma-

rować kolejno pasma włosów, aż wreszcie całą głowę. Nie szkodzi, że na głowie powstanie „twarda” skorupa. Owinąć głowę np. woreczkiem z folii (poszukać takiego z szerokim otworem). Spiąć dobrze spinkami i taki kompres trzymać możliwie jak najdłużej. Np. można to zrobić w sobotę wieczorem i spać z tym kompresem. Można zrobić to w niedzielę rano, a przed obiadem głowę umyć.

Bo po zdjęciu folii trzeba głowę umyć, prawdę mówiąc, jakimkolwiek szamponem. Ale lepiej będzie w Pani przypadku umyć „kremem regeneracyjnym do włosów”, o nazwie „Kapilofil”. Ten krem świetnie się pieni, a przy tym również odżywia cebulki włosowe. Jeśli trzeba — można od razu myć włosy szamponem barwiącym.

Naturalnie, że lepiej się w czasie kuracji wstrzymać przed „męczeniem” włosów tzn. przed ich farbowaniem, czy robieniem „trwałej” itp. Nie mniej, jeśli będzie Pani systematycznie myła włosy w trakcie z żółtkami — to im żadne trwałe

Spal DDT

Od kilku już lat badano co się dzieje w organizmie zwierząt, a także i ludzi, pod wpływem używania tak „cudownego” środka, za jaki był uważany dotychczas DDT. Rzeczywiście DDT wspinał się niszczył owady.

Największą sławę zyskał sobie po wojnie, kiedy to zawszonych i zapluskwionych więźniów — jeńców wojennych i innych hitlerowskich obozów ludzi, trzeba było w szybki sposób „odwyszawiać” i uwolnić od niezliczonych ilości dokuczliwych insektów.

Tymczasem, nowsze badania wykazały, że DDT jest środkiem nieomal niezniszczalnym. W niczym się nie rozpuszcza i w ogóle nie tylko nie można się od niego uwolnić, ale powoli coraz większe jego ilości gromadzą się w organizmach żywych istot, tak że w końcu — ten niby niewinny dla człowieka środek, okazał się — trucizną. Gdy go było mało — nie było niebezpieczeństwa. Gdy go jest już dużo lub za dużo — staje się bardzo niebezpieczny.

Szczególnie daje się we znaki wątrobie, którą wprost uszkadza. Poza tym w doświadczeniach na myszach — okazało się, że może być powodem raka. W innych doświadczeniach okazało się, że DDT powoduje wyższą śmiertelność potomstwa, bo poraża zarodki. Np. w doświadczeniu nad kurami — okazało się, że nie tylko nie mogą one stworzyć odpowiedniej, twardej skorupki dla jaj, ale i z takich jaj nie mogły się wyłoc kurczęta.

Te i podobne wiadomości wywołały alarm na całym świecie.

Tym bardziej, że inne badania wykazały, że nawet... pingwiny na Arktyce mają w swoich tkankach DDT. Rozpylony dostaje się do planktonu, którym odżywiają się ryby, rybami — pingwiny, mewy i inne ptactwo i... w ten sposób DDT krąży po wszystkich żywych organizmach.

Podobnie znajdowano ten niezniszczalny środek w mięsie krów, bo wystarczyło, że pasły się na pastwisku, na które przy opylaniu pól czy lasów dostawało się też nieco tego DDT-owego kurzu.

W wielu krajach zabroniono już w ogóle używania tego środka. Wiele stanów w USA również go wycofało z użycia lub wprost zabroniło używania.

U nas, gdzieś tam jeszcze ludzie mają oryginalne DDT — pochodzące z USA, a kupione np. w komisie. Poza tym nasze rodzime „DDT” ukazywało się pod nazwą „Azotox” i było w proszku lub w płynie. Dziś odrzućcie wszystkie tego typu środki! Najlepiej je spalić. Bo tylko ogień potrafi zniszczyć tę „niezniszczalną” trutkę!

DOROTA

farby, tapirowania itp. „męczenia” już nie zaszkożą.

Przed każdym myciem, nawet co tydzień warto sobie taki kompres tranowy zastosować. Po dłuższym czasie — nie pozna Pani swoich włosów. Będą gęste, puszyste, jedwabiste i... miłe w dotyku.

Przy okazji — przypominam, że jedynym kosmetykiem na porost brwi i rzęs był dotąd — od niepamiętnych lat — rycynus. Trzeba go wcierać w skórę, malować pędzelkiem rzęsy, a poprawa będzie widoczna.

A więc mając już buteleczkę rycynusu w garści warto posmarować sobie rzęsy i wetrzeć ten olej w brwi.

Znam osoby, które mają oszalałając piękne włosy, ale stosują takie kompresy już od lat. Warto!

BELLA



Jableczne



smakołyki

Jest chyba z 1001 przeróżnych „dobrych rzeczy” z jabłek. U nas najpopularniejsza jest... szarlotka. Ale może by tak czasem coś innego?

JABŁKA NA KRUCHYM CIEŚCIE Z BUDYNIEM

czyli „szarlotka” inaczej. Najpierw przygotowujemy jak zwykle kruche ciasto. Tzn. bierzemy np. 30 dkg maki, 20 dkg margaryny, 10 dkg cukru-pudru i 3 żółtka oraz odrobinę soli i z tego zagniatamy ciasto. Nic nie szkodzi, jeśli to ciasto poleży sobie nawet i tydzień w lodówce — będzie jeszcze lepsze! Ale można z niego też od razu zrobić „torcik”.

A więc ciasto rozwałkowujemy na okrągły plackek i nawijamy go na wałek. Następnie przenosimy w ten sposób ciasto nad tortownicę i tam je odwijamy tak, aby ją zakryło. Dobrze tym ciastem tortownicę oblepiamy, odcinamy i wyrównujemy brzegi. Kto chce, może się zahaczyć w ugniatanie ząbków. Jak to się robi? Od wnętrza tortownicy przytyka się do brzegu ciasta pierwszy palec lewej ręki, a od zewnątrz przyciska się ciasto — palcami prawej dłoni — do tego kejuka. Kto ma wprawę, zrobi ząbki w ten sposób w kilka sekund. Teraz ciasto nakładamy widelcem — spód i boki. Wstawiamy do bardzo gorącego piekarnika (ok. 210 st. C) i pieczemy 10 do 15 minut na złoty kolor.

Przy kruchym cieście — najważniejsza jest temperatura. Gdy piecyk jest za mało gorący, to tłuszcz z ciasta się wytopi, całe ząbki — pójdą na marne, bo się zleją, i ciasto będzie niekruche i niesmaczne. Przy zbyt gorącym piekarniku (ponad 200 st. C) ciasto łatwo się spali lub upiecze nierówno. Ale... z dwójką z tego — lepszy piec za gorący, jak za zimny.

Po upieczeniu i ostygnięciu ciasta, możemy na nie na-

kladać masę jableczną przetrta lub układać pokrajane nie rozgotowujące się jabłka, jeszcze podpiec lub nie — i szarlotka — zwyczajna, gotowa.

Nasz torcik zrobimy inaczej. Otóż napełniamy go przestudzonym budyniem np. waniliowym. Przygotowujemy go według przepisu na opakowaniu kupnej torebki z budyniem.

Tymczasem kilka ładnych jabłuszek, równej wielkości obieramy cieniutko ze skórki i zapiekamy w jeszcze gorącym piekarniku. W tym czasie przygotowujemy glazurę. Tzn. bierzemy szklankę cukru, z paczka cukru waniliowego, dodajemy pół szklanki wody i razem zagotowujemy. Upieczone jabłka zanurzamy w tej glazurze, a potem studzimy. Ostudzone, błyszczące glazurą jabłka, układamy na budyniu, dekorując w ten sposób nasz kruchy torcik. Można jeszcze dla dekoracji dodać kilka wiśni z konfitury, a w zagłębieniu jabłek włożyć np. „listki”, wycięte ze skórki pomarańczowej lub z usmażonych, zielonych lodów arcydzieła.

Przypomnijmy, że obierając jabłka, trzeba je wydrażyć, usunąć gniazda nasienne. Sa aparaciki, które to robia przy pomocy jednego ruchu ręki, ale można też jabłka wydrążyć, np. łyżeczką do robienia małych kulek z ziemniaków, lub po prostu — szczyrzykiem, albo... nie wydrążyć, bo bez aparaciku — to dużo roboty.

Taki torcik jest nie tylko smaczny, ale i bardzo dekoracyjny. Świetny na przyję-

cie dla gości, na imieniny itp.

A oto jeszcze inny przepis na:

JABŁKA NA RYZU

Szklankę ryżu zagotować w 2,5 szklankach gorącego mleka. Dodać soli do smaku i łyżeczkę masła. Jeszcze gorący włożyć do wyplukanej zimną wodą — salaterki i ostudzić. Gdy już zupełnie wystygnie, wyłożyć go na okrągły półmisek. Aby łatwiej wyszedł, można salaterkę lekko podgrzać, np. owijając ją w szmatkę, zwilżoną gorącą wodą.

Jabłka obrać, pokrajać na ćwiartki, usuwając gniazda nasienne i każdą ćwiartkę zanurzać w glazurze, jak poprzednio.

Tymi jabłkami udekorować dookoła zimny ryż. Jeszcze przystroić konfiturami. A resztę glazury wymieszać z syropem lub sokiem owocowym, np. z wiśni — dla koloru — i tym oblać ryż — razem z jabłkami.

Można też zrobić z ryżu „okrag”, czyli wkładając gorący do salaterki, włożyć w sam środek szklankę dnem do góry. Wówczas ryż zaścignie w ten sposób, że środek będzie pusty. Właśnie w ten sposób możemy nałożyć jabłek i konfitur lub także i innych, nawet świeżych owoców i ta legumina będzie jeszcze ładniejsza, a równie smaczna. Kto nie ma pod ręką glazury, może taki ryż zalać też hita śmietaną lub tylko wymieszaną z cukrem pudrem. (J)



Słuchaj Kamili

„Młody Czytelnik” pyta, jak wyczyścić piórnik, poplamiony atramentem? Ten piórnik ma jeszcze służyć jego młodszemu bratu, który w tym roku idzie do szkoły.

Bardzo ładnie, że o tym pomyślałeś, aby oddać bratu czysty piórnik. Słusznie! Ale roboty z tym będziesz miał sporo. Weź grubą żyletkę — bardzo ostrożnie ją trzymaj, aby się nie zaciął, może nawet tę stronę, za którą trzymasz, owiń w papier i delikatnie, i równo „zhebluj” żyletką brudne miejsca. Innej rady, prawdę mówiąc — nie ma. Ale staraj się nie robić wgłębień i dziur w drewnie, tylko zeskrobuć te atramentowe plamy, wyglądając równocześnie powierzchnię piórnika.

Inny kłopot „Młodego Czytelnika”, to... co robić, gdy na książkę wyleje się woda? „Wysuszyłem ją — pisze — na słońcu, ale jest cała popalowana, przydka”.

Możesz ją jeszcze trochę odratować, zawijając w zwilżoną bibułkę i owijając w ręcznik lub koczek. Następnie tę książkę połóż na dywanie, czy innym jakimś koczyku i obciąż bardzo mocno ciężarkami. Może to być 5-kg ciężerek od wagi, albo po prostu stos książek. Powoli wysychała cała woda. Następnie znowu włóż książkę pod „prasę” z kilku najcięższych książek jakie znajdziesz w domu. Będzie — jak nowa.

A gdyby Ci się zdarzyło ponownie takie zalanie książki wodą, to włóż między kartki bibuły lub po kilka „listków” ligniny i prasuj ciepłym żelazkiem; tak, aby w bibuły czy ligninę wsiąkała cała woda. Następnie znowu włóż książkę pod „prasę” z kilku najcięższych książek jakie znajdziesz w domu. Będzie — jak nowa.

Wiele matek ratuje się jak może przed ciągłym darcim przez dzieci ubrań. Szczególnie chłopcy robią w spodniach dziury na kolanach,

a dziewczynki — robią dziury w fartuszkach na lokciach. Toteż te miejsca odzieży trzeba wzmacniać. Zwykle robi się to w ten sposób, że pod kolana czy łokcie, pod spód materiału, przyszywa się dodatkową łatkę wzmacniającą. Dzięki niej, trudniej o dziury, tym bardziej, że taką łatkę zwykle robi się ze śliskiego materiału, np. satyny, w odpowiednim kolorze. Ponieważ łatka jest śliska, więc nietawo w niej tę dziurę zrobić.

Przed, czy w okresie szkolnym, radzimy tak postąpić. Przedkujmy to znaczenie użytkowanie tej łatwo drącej się odzieży.

Co na obiad?



1. Zupa szczawiowa z jajkiem na twardo. Pieczeń wołowa, kluski ziemniaczane — kopytka, buraczki, kalafior z masłem i bułeczka. Kompot owocowy.

2. kwaśne mleko z kaszą gryczaną. Naleśniki nadziewane farszem mięsny, surówka z kapusty słodkiej, Kompot owocowy, mieszany.

3. Zupa pieczarkowa (lifilizowana) z grzybkami. Nerkówka duszona, ziemniaki, kalafior z marchewką. Kompot z gruszek.

4. Barszcz z fasolą. Knedle ze śliwkami z cukrem-pudrem i śmietaną. Kompot z faharbaru.

5. Zupa z kiszonych ogórków z ziemniakami, krajany mi w kostkę. Potrawka z ryżu. Salata pomidorowa. Jabłka w cieście.

6. Zupa owocowa z kluszczkami (makaron). Ryba faszetowana (morska), ziemniaki, surówka z kapusty słodkiej z cebulą. Jabłka glazurowane, z konfiturą.

7. Zupa „nie” z pianką. Zraziki siekane w sosie śmietanowym, ziemniaki lub kasza, ogórek kiszony. Gruszki w czekoladzie.

PAN PAWEŁ T. Z WROCLAWIA w niezwykle zwięzłym liście zadał nam tyle ważkich pytań, że nie wiemy, czy zdołamy na nie odpowiedzieć jednym tohem. Ale spróbujmy.

Najpierw problem tzw. grzechów zarezerwowanych. Chodzi tutaj o częściowe ograniczenie jurysdykcji spowiednika rzymskokatolickiego. (W innych Kościołach nie praktykuje się czegoś podobnego). Zarezerwowanie niektórych grzechów polega na zastrzeżeniu ich odpuszczenia poprzez absolucję (rozgrzeszenia) dokonaną przez władzę wyższą np. przez biskupa lub papieża. Celem „rezerwacji” jest utrzymanie surowej dyscypliny (karności) kościelnej przez odstraszenie ludzi wierzących od pewnych czynów poprzez stwarzanie trudności w uzyskaniu rozgrzeszenia. Do „grzechów zarezerwowanych” należą przede wszystkim czyny ślągające na sprawcę karę kościelną zwaną cenzurą. Taką „cenzurą” jest ekskomunika, interdikt, suspensa. Sam Watykan musi interweniować przy rozgrzeszeniu aż 26 grzechów np. zbezczeszczenia postaci eucharystycznych, pobicia papieża, naruszenia tajemnicy spowiedzi, czytania książek zakazanych, wykradzenia watykańskiej korespondencji lub jej fałszowania, odprawiania czynności liturgicznych bez odpowiednich święceń, handku odpustami, złamania celibatu itp.

Sprawę nazwy naszego czasopisma: „Tygodnik katolicki” omawialiśmy w tym miejscu (dość dawno), więc tylko przypomniemy, że cel tego podtytułu jest podwójny: a) zwrócić uwagę na religijny charakter czasopisma, b) przypomnieć właściwą treść słowa „katolicki”, które odnosi się (winno się odnosić) tylko do zagadnień wiary a nie organizacji kościelnej. Z tego wynika, że autorami tego podtytułu wcale nie powodowała chęć „podszycania się” pod rzymskokatolicyzm. Nie umieszczono wyrazu „starokatolicki” (jak proponuje Korespondent z Wrocławia), ponieważ pojęcie to wiąże się ściśle z wypadkami sprzed stu lat — (z odrzuceniem niektórych uchwał Pierwszego Soboru Watykańskiego), podczas gdy określenie „Kościół katolicki” znalazło się w literaturze chrześcijańskiej już na początku II wieku. (Dodajmy, że nie łączono go wcale z Rzymem).

W tym wyjaśnieniu zawarłbym zarazem odpowiedź na pytanie: „Czy Kościół katolicki a starokatolicki to to samo?” Widzimy, że nie jest to samo. Starokatolicyzm to zaledwie jeden z odłamów katolicyzmu podobnie zresztą jak i rzymskokatolicyzm, który jest tylko jednym z wielu

Kościółów bazujących na katolicyzmie autentycznym.

Pewni ludzie w Polsce niezależni zarówno od rzymskokatolicyzmu jak i polskokatolicyzmu, a nazywający się „starokatolikami” niewiele mają wspólnego ze starokatolicyzmem i z katolicyzmem, który jest przeciwieństwem sekciarstwa i religijnego awanturnictwa.

Różnice między obydwu grupami mariawityzmu są drugorzędne, a więc nieistotne. Grupa skupiona wokół Felicjanowa przyjmuje w zasadzie wszystkie nowe praktyki wprowadzone przez arcybiskupa Michała Kowalskiego. Nowością najmocniej rzucającą się w oczy jest praktykowanie kapłaństwa niewiast. Natomiast zwolennicy mariawityzmu skupionego w Starokatolickim Kościele Mariawitów większość tych praktyk odrzucili, a więc nie ma też u nich kobiet wyświęconych na księży lub biskupów.

Ostatni wreszcie problem to mariologia. Wszystkie wyznania chrześcijańskie mają naukę o Maryi z Nazaretu z tym, że u wyznań protestanckich mariologia jest bardzo wstrzeźliwa ze względu na tzw. chrystocentryzm czyli bezwzględne stawianie Jezusa Chrystusa w środku religijnego kultu. Natomiast wyznania bazujące na katolicyzmie (prawosławie, rzymskokatolicyzm, starokatolicyzm) uznając w pełni Chrystusa za jedyny ośrodek życia religijnego, oddają nadto cześć osobom Jemu bliskim, a więc przede wszystkim Jego Matce, przy czym są konsekwentne w rozumowaniu: Skoro Syn jest Bogiem, to Jego Matka jest Bogarodzicą. (Zrodziła oczywiście nie Jego bóstwo, lecz człowieczeństwo). Wyraz „Chrystus” oznacza człowieka wybranego przez Boga, lecz tylko człowieka. Stąd nazwa „Matka Chrystusa” wcale się nie pokrywa z nazwą „Matka Boża”. Zgadza się, że ta ostatnia nazwa nie odpowiada chrześcijanom chcącym uchodzić za postępowych, ale gdy za takiego uchodził w V w. patriarcha Konstantynopola, Nestoriusz, został zmuszony (przez trzeci Sobór Ekumeniczny 431 r.) do rezygnacji ze stanowiska i uznany za przeciwnika prawowierności.

Inną sprawą jest nadużywanie mariologii dla celów z religią luźno związanych. Gdy jednak zwalczamy nadużycia, nie możemy zwalczać samej zasady, podobnie jak zwalczając wojny i walcząc o pokój nie lekceważymy sił zbrojnych gotowych do obrony ojczyzny.

Dziękując za pozdrowienia, pozdrawiamy wzajemnie i prosimy o dalszą równie rzeczową korespondencję.

Polskokatolickich

PARAFIE KOŚCIOŁA POLSKOKATOLICKIEGO NA TERENIE M. ST. WARSZAWY

Parafia katedralna p.w. św. Ducha
Warszawa, ul. Szwoleżerów 4 (Dolny Ujazdów)
tel. 41-37-43

Porządek nabożeństw w niedzielę i święta:

Godz. 9.00 — Msza św. cicha
Godz. 11.00 — Spowiedź ogólna dla dorosłych.
SUMA z kazaniem.
Godz. 17.00 — Nieszpory i Godzina Biblijna.

Parafia p.w. Miłosierdzia Bożego
Warszawa, ul. Wilcza 31 tel. 29-43-32

Porządek nabożeństw w niedzielę i święta:

Godz. 9.00 — Msza św. cicha
Godz. 11.00 — Spowiedź ogólna dla dorosłych.
SUMA z kazaniem.

Parafia p.w. Dobrego Pasterza
Warszawa, ul. Modlińska 205

Porządek nabożeństw w niedzielę i święta:

Godz. 9.00 — Msza św. cicha
Godz. 11.00 — Spowiedź ogólna dla dorosłych.
SUMA z kazaniem.
Godz. 17.00 — Nieszpory

PARAFIE KOŚCIOŁA POLSKOKATOLICKIEGO NA TERENIE M. KRAKOWA

Parafia p.w. Zmartwychwstania Pańskiego
Kraków, ul. Łagiewnicka 54 (Bonarka) tel. 5-99-16

Godz. 9.00 — Msza św. cicha
Godz. 11.00 — Spowiedź ogólna dla dorosłych.
SUMA z kazaniem.
Godz. 17.00 — Nieszpory i Godzina Biblijna.

Parafia p.w. Wniebowstąpienia Pańskiego
Kraków, ul. Friedleina 8 tel. 3-40-16

Godz. 9.00 — Msza św. cicha
Godz. 11.00 — Spowiedź ogólna dla dorosłych.
SUMA z kazaniem.
Godz. 17.00 — Nieszpory i Godzina Biblijna.

Parafia p.w. Matki Bożej Nieustającej Pomocy
Kraków, ul. Kopernika 13 tel. 5-98-56

Godz. 9.00 — Msza św. cicha
Godz. 11.00 — Spowiedź ogólna dla dorosłych.
SUMA z kazaniem.
Godz. 17.00 — Nieszpory i Godzina Biblijna.

PARAFIE KOŚCIOŁA POLSKOKATOLICKIEGO NA TERENIE M. WROCLAWIA

Parafia katedralna p.w. św. M. Magdaleny
Wrocław / ul. św. M. Magdaleny 5 tel. 3-74-16

Godz. 9.00 — Msza św. cicha
Godz. 11.00 — Spowiedź ogólna dla dorosłych.
SUMA z kazaniem.
Godz. 17.00 — Nieszpory i Godzina Biblijna.

Wydawca: STPK Zakład Wydawniczy „Odrodzenie”. Redagują Kolegium. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Wilcza 31, tel. 21-78-38; 29-48-43. Warunki prenumeraty: Prenumeratę na kraj przyjmują urzędy pocztowe, listonosze oraz Oddziały i Delegatury „Ruch”. Można również dokonywać wpłat na konto PKO Nr 1-6-100030 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23. Prenumeraty przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Cena prenumeraty: kwartalnie — 26 zł, półrocznie — 52 zł, rocznie — 104 zł. Prenumeratę za granicę, która jest o 40 proc. droższa — przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, tel. 26-46-88, konto PKO Nr 1-6-100024. (Roczna prenumerata wynosi: dla Europy 7 dol., 19,70 DM, 23,40 NF, 1,13,6 funt dla Stanów Zjednoczonych i Kanady 7 dol.; dla Australii 1,10,5 £A, 20, £E). Można również zamówić prenumeratę, dokonując wpłaty na konto Zakładu Wydawniczego „Odrodzenie” NBP III O. M. Warszawa Nr 1551-8-35388. Nie zamówionych rękopisów fotografii i ilustracji redakcja nie zwraca. Nr indeksu — 37518.

Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa” Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5.

Zam. 3707 P-38



Pomnik Adama Mickiewicza na Krakowskim Przedmieściu

(fot. Z. Szczyński)

○ Warszawie starej i nowej czytaj wewnątrz numeru.